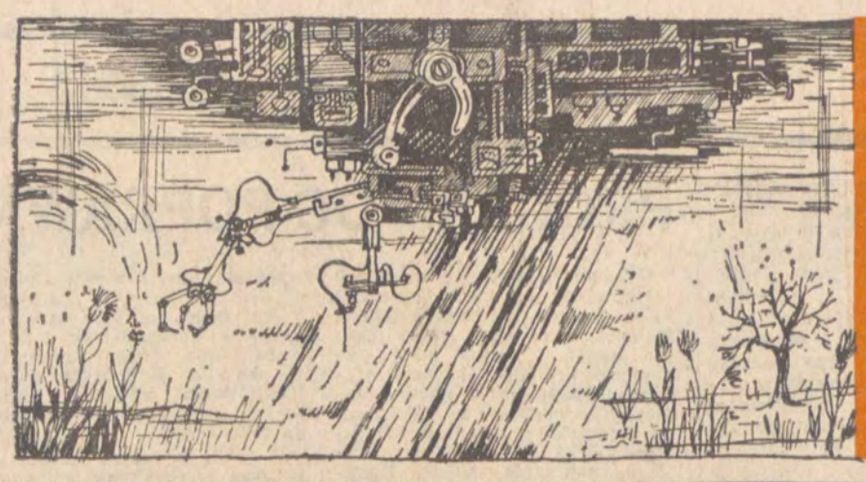

dziś specjalny dodatek a w nim ankieta : czy lubicie poezję ?

ODGŁOSY

ROK XIX NR 23 (965) 3 CZERWCA 1976 R. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

KULTURA

Nowy podział administracyjny wymaga nowych sposobów myślenia i nowych, oryginalnych rozwiązań. Kiedyś dyrektywy przychodziły z Łodzi, dziś decyzje muszą zapadać na miejscu. Marłaż ziemi piotrkowskiej i opoczyńskiej, choć oba te regiony są tak różne, przecież okazał się niezwykle szczęśliwy jeśli chodzi o szeroko pojęte sprawy kultury. Być może dla lepszego zbliżenia i zacieśnienia kontaktów, dla oddalenia podejrzeń o hegemonię Piotrkowa w nowym województwie, dyrektorem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego został opocznianin BOGUSŁAW NOWAK.

Dziedzictwo, jakie stało się udziałem nowego województwa okazało się pokaźne: zarówno Łódź jak i Kielce nie szczędziły budżetu na rozwój placówek kulturalnych na swoich terenach. **Tomaszów, Radomsko, Bełchatów, Piotrków** — to ośrodki narosłe tradycją kultury robotniczej, opoczyńskie — to przede wszystkim folklor. Należy więc niejako dokonać „spisu z natury" istniejących możliwości i zasobów, objąć opieką, przeprofilować, nadać odpowiednią rangę i kształt, w miejsce placówek powiatowych stworzyć placówki typu wojewódzkiego. **Bogusław Nowak**, który po uszy siedzi w tej skomplikowanej i niełatwej problematyce, stoi na stanowisku, że nie można kultury dzielić, rozgraniczać na miejską

EUGENIUSZ IWANICKI

PIOTRKÓW: SIŁY na ZAMIARY

czy wiejską — kultura jest jedna, choć jej formy mogą być różnorakie. Przecież obok prężnych ośrodków miejskich istnieją silne ośrodki na wsiach, chociaż ofensywa kulturalna pójdzie przede wszystkim na rozwój gminnych ośrodków kultury, na równanie poziomów między miastem a wsią. Lecz kultury nie można narzucać, zmuszać ludzi do jej uprawiania. Dlatego też zadaniem twórców, pracowników upowszechniania kultury, aktywu społeczno-kulturalnego jest nie tylko propaganda, lecz inspirowanie, organizowanie inicjatyw, zaszczepianie wysokiej odpowiedzialności moralnej i ideowej za całokształt życia kulturalnego w województwie piotrkowskim. Jednym z pierwszych dokumentów nowych władz partyjnych było opracowanie koncepcji pracy ze środowiskami twórczymi.

Dalszy ciąg na str. 5

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

CHRISTIANIA

(KORESPONDENCJA Z DANII)

Dziewczyna stała na placu i patrzyła w księżyc, a ten gość trzymał się za wątrobę. Miał mniej więcej około trzydziestki i kiedy upadł, dziewczyna odjęła od ust butelkę, bo ona wcale nie patrzyła w księżyc, tylko ciągnęła tak piwo. Zaraz też chwyciła go fachowym gestem za puls, żeby stwierdzić: dom, szpital czy cmentarz.

Nie trwało to długo.

Osobnik z brygady sanitarnej rzucił kilka słów w krótkofalówkę; wyłonili się z mroku noszowi, cisnęli gościa na rozpięty pomiędzy dwoma kijami koc i wrócili w mrok równie cicho jak przyszli.

Obserwowałem to wszystko z ulicy, przez luz w murze po wyburzonym budynku. Powinienem z miejsca wejść do środka, ale się bałem. Ci dwaj, co byli ze mną: Polak i Amerykanin, także się bali.

— Czego się boicie — mówię — skoro jest tu podobno bardzo spokojnie?

To popatrzyli na mój płaszcz i powiedzieli, że wyglądam jak glina.

Potem, kiedy ruszyliśmy wreszcie przez ten plac, zaczepiali nas handlarze haszyszem. Trzech przepuściliśmy, ale czwarty nie dał się zmyć i Amerykanin kupił za sześć dolarów półtora grama.

Sprzedający był Anglikiem. Chudy jak szczapa, wścibski, przyglądał się uważnie mojemu płaszczowi.

— **Skąd jesteś?** — zapytał.

— Z Polski.

— **Naprawdę?**

Przytaknąłem.

Wtedy on się odprężył. Wyszczerzył przyjaźnie popsute pieńki i powiedział:

— **Też znam parę słów po polsku: job twoja mać.**

Uśmieliśmy się nie prostując, że słowa te należą do innego leksykonu i ruszyliśmy dalej.

Było już po jedenastej i dokoła panowały ciemności, bo większość domów jest odcięta od światła. Kierowaliśmy się na ogniska, które płonęły tu i ówdzie, skupiając niewielkie grupki hippiesów. Mimo późnej pory w niektórych warsztatach trwała jeszcze praca: dzwonił młot o kowadło, zgrzytał pilnik, ktoś leżał pod ciężarówką klnąc i chrobocząc narzędziami. Trzeba było uważać żeby nie wdepnąć na dziecko, albo nie zderzyć się z jednym z tych ogromnych wszechobecnych psów co i rusz ocierających sierść o nogi przechodniów.

— **W ogóle** — mówił Polak — **lepiej mieć się na uwadze.** — Zerknął niechętnie na moje brązowe płaszczysko. — **Spokój spokojem, ale jednego policjanta to oni już tu zadźgali.**

— Czemu?

— **Wtrącał się do narkotyków.**

— My się nie wtrącamy.

— **Ale można było przyjść w dzień.**

— W dzień nie sztuka...

I pomyślałem, że cały ten strach jest zupełnie bezpodstawny. Z nocy się brał, z ciemności. Bo oni naprawdę nikomu nie robią krzywdy. Z tym policjantem — zgoda. Ale poza tym żadnych mordów i gwałtów. Co do kradzieży... sami zostali wielokrotnie obrabowani, i to przez polskich emigrantów, którym nie chce się pracować i robią nam w Danii straszną opinię. Zwieje taki, poprosi o azyl, przydekuje się na dwa — trzy dni w melinie, potem lewa rączka w ruch i wczesnym rankiem nie ma już po nim śladu. A jest kogo złupić — oprócz biedoty, zaropialców i brudasów ze wszystkich stron świata, którzy zamieszkują w Christianii na stałe, ściągają tu wieczorami sympatyzujący z ruchem lekarze, dziennikarze, adwokaci oraz dzieci bogatych rodzin, zbuntowane przeciwko konsumpcyjnemu modelowi społeczeństwa: wymuskane licealistki w sztucznie złachmanionych kompletach dżinsowych, paniczykowie, którzy pod zgrzebnymi siermięgami zawsze kryją jakiś zegarek, łańcuszek czy sakiewkę. Syn premiera wmeldował się tutaj ostatnio na czas nieokreślony, żeby dać nauczkę ojcu za niewłaściwą politykę. Przychodzą od przypadku do przypadku synowie innych notabli, jeśli nudno im w domu, albo trudno w szkole. Pojawia się często sam Minister Obrony Narodowej, ale nie żeby pić i palić, tylko pertraktować.

Ciężka sprawa...

A zaczęło się wszystko przed paroma laty dość niewinnie.

Dalszy ciąg na str. 8

GOSPODARKA

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

KROKODYLA DAJ MI LUBY

Krokodyla na dowód miłości zażądała od Papkina Klara z „Zemsty" Aleksandra Fredy.

KLARA: (...) W oddalonej stąd krainie
Jadowity potwór słynie
Najmężniejszym trwogą bywa
Krokodylem się nazywa.
Niech go schwyci i przystawi.
Moje oko nim zabawi (...)
PAPKIN: (...) „Jeśli nie chcesz mojej zguby
Krrrokodyla daj mi luby".

Papkin, aby spełnić życzenie Klary miał do wyboru tylko dwa wyjścia. Albo urządzić wyprawę do dalekiej Afryki i tam zapolować na krokodyla, albo kupić go. Jak wiadomo Papkin nie grzeszył ani odwagą, ani majątkiem. Wręcz przeciwnie. Tak więc mógł tylko narzekać na niewieścią przewrotność, która domagała się aż tak wyszukanych dowodów miłości.

Co zrobiłby współczesny młodzieniec, gdyby jego umiłowana postawiła taki warunek? Gdyby w dowód miłości zażądała... krokodyla. Albo już tylko torebkę ze skóry krokodyla. Musiałby ją kupić, ale też miałby z tym sporo kłopotów. Krokodyle bowiem — jak to powszechnie wiadomo — nie wylegują się w mule nad Wisłą, Pilicą czy Bzurą, ale zupełnie gdzie indziej. Aby więc kupić krokodyla, a raczej nędzne jego szczątki, młodemu człowiekowi potrzebne byłyby pieniądze i to takie, którymi interesowałby się posiadacz nędznych szczątków krokdoyla oraz rzemieślnik, który z tych szczątków zrobiłby cudo w postaci damskiej torebki. Młodemu człowiekowi potrzebny byłby jeszcze pośrednik, który załatwiłby w jego imieniu całą transakcję. I tu ów wyimaginowany młody człowiek napotkałby kolejną trudność. Przedsiębiorstwa handlu zagranicznego mają do rozwiązywania poważniejsze problemy niż zadośćuczynienie kaprysom jakiejś pannicy, a w naszych warunkach tylko one mogą być pośrednikami w handlu z zagranicznymi kupcami.

INNA SKALA

Przykład z krokodylem może wydawać się zbytnio wyimaginowany, ale chyba wyraziście oddaje tę prawdę, że aby móc kupić coś, czego nie posiadamy, najpierw musimy sprzedać coś, co posiadamy i czego pragnęliby inni, aby tym sposobem zdobyć środki niezbędne dla dokonania takiej transakcji.

Dalszy ciąg na str. 3

KULTURA

PO SPOTKANIU

Sądzę, że wszyscy wchodziliśmy do sali posiedzeń Egzekutywy KŁ PZPR nie bardzo wiedząc jak też przebiegnie spotkanie, na które zostaliśmy zaproszeni z okazji Dnia Działacza Kultury. Sala jest co prawda niewielka, ale zmieściło się w niej bez trudu kilkudziesięciu przedstawicieli co najmniej kilkunastu instytucji czy środowisk. Widząc na stołach butelki soku pomarańczowego i pepsi-coli zrozumiałem, że nie czekają nas żadne „lampki" i toasty, że zanosi się na rozmowę z naszymi gospodarzami. Sądziłem, że rozpocznie się ona jakimś wprowadzającym w temat zagajeniem i — przyznaję — zaskoczył mnie I sekretarz KŁ PZPR Bolesław Koperski, który po krótkim powitaniu zaproponował abyśmy mówili o tych sprawach, które wydają nam się ważne, wymagające rozwiązania. Pomyślałem, że czeka nas jeszcze jedna dyskusja, w której każdy z zabierających głos porusza sprawy własnego podwórka i własnego środowiska.

Początkowo wydawało mi się, że moje przypuszczenia były słuszne, potem jednak pozornie rozstrzelone i różnych spraw dotyczące głosy zaczęły układać się w polifonię wiernie odbijającą istotne cechy działań prowadzonych w naszym mieście w dziedzinie kultury. Przypomniały one — po pierwsze — tę prawdę, że pracę w dziedzinie kultury cechuje niespotykana gdzie indziej decentralizacja. Biorą przecież w tej pracy udział placówki podlegające władzom województwa miejskiego — teatry, biblioteki, muzea; placówki podległe resortom centralnym — wytwórnie filmowe, radio i telewizja; placówki związków zawodowych czy spółdzielczości pracy, stowarzyszenia społeczne — Towarzystwo Przyjaciół Łodzi czy Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, związki twórcze, organizacje społeczne itd., itp. W tym koncercie formalnie niezależnych od siebie, własnymi prawami rządzących się instrumentów, nie ma jednak zgrzytów i kakofonii. Dzieje się tak dzięki organizującej, koordynującej funkcji instancji partyjnej i pracy wielu szeregowych członków partii — działaczy i pracowników kulturalnych — wdrażających w życie wskazania i decyzje instancji. Przypomniałem sobie tę prawdę i pomyślałem, że spotkanie z okazji Dnia Działacza Kultury odbywa się tam gdzie odbyć się powinno.

Słuchając uczestników naszego spotkania w każdym wystąpieniu z łatwością znajdowałem — po drugie — jedną wspólną nutę: nutę przeświadczenia o konieczności działania lepiej, skuteczniej niż dotychczas. Co ważniejsze — te wyższe zadania poszczególni mówcy stawiali przede wszystkim przed swoimi środowiskami czy placówkami; głosów domagających się poprawy pracy „kolegi" czy „sąsiada" było niewiele. Nie znaczy to wcale by podczas spotkania przestrzegana była zasada obłudnej kurtuazji każącej przymykać oczy na rzeczywiste niedomagania, po prostu dominowały rozważania o takich sprawach, za których bieg zabierający głos czuli się odpowiedzialni. Nie odbyło się też bez odwołań o pomoc Instancji przy rozwiązywaniu poszczególnych problemów; apel o wprowadzenie do naszych szkół zajęć i materiałów kształtujących lokalny patriotyzm młodych łodzian, zapamiętałem jako szczęśliwy przykład takich właśnie odwołań.

Wbrew początkowym obawom wciągnęła mnie dyskusja na spotkaniu a intencje naszych gospodarzy — tow. Koperskiego przede wszystkim — stały się dla mnie jasne. Unikając gałówkowo-akademijnego charakteru spotkania uczynili oni z niego jeszcze jedno ogniwo w łańcuchu przedsięwzięć, które precyzują zadania jakie podjąć muszą środowiska i placówki kulturalne i oceniają możliwości tych środowisk i placówek. Tak też określił sens naszego spotkania tow. Koperski zamykając dyskusję i zapewniając nas, że każda z poruszonych spraw będzie przedmiotem uważnej analizy Instancji i władz województwa.

Wychodziłem z sali Egzekutywy KŁ z przekonaniem, że byłem uczestnikiem nie tylko przyjemnego, ale przede wszystkim pożytecznego wydarzenia. Mam nadzieję, że podobne robocze rozmowy będą już w najbliższym czasie regulowane rytmem planu a nie datami takich czy innych uroczystości. Nie ukrywam, że przede wszystkim marzą mi się organizacyjne rozwiązania zwiększające odpowiedzialność partyjnych działaczy i pracowników kultury za rozwój tej dziedziny życia w naszym mieście. Myślę, że ich doświadczenie, ich umiejętności i ambicje stanowią rezerwę wartą intensywniejszego zagospodarowania.

EDWARD SZUSTER
I sekretarz POP
przy Związku Literatów
Polskich w Łodzi

JEDNO PYTANIE

W latach 1974—75 „Odgłosy" opublikowały cykl szkiców krytycznych poświęconych literaturze naszego miasta. Ta seria artykułów nosiła tytuł „Słownik pisarzy łódzkich". Obecnie chcemy ten cykl kontynuować w lżejszej formie. Zadając pisarzom jedno tylko pytanie, spodziewamy się, że wyniki naszej ankiety zaktualizują „Słownik" i ukażą łódzkie środowisko literackie z nowej strony. Dotychczas wypowiedzieli się: W. Orłowski, Wł. Rymkiewicz, M. M. Szargan, J. Wilmański, R. Binkowski, J. H. Wiśniewski, T. Gicgier, T. Chróścielewski, K. Obidniak i Ewa Ostrowska. Dziś wypowiedzi kolejne.

— JAKI JEST PANA STOSUNEK DO PRZYRODY?

Odpowiada: **EDWARD KOPCZYŃSKI**

Przypuszczam, że to pytanie ma związek z typem twórczości jaką uprawiam. Owszem, przyroda jest obecna w moich książkach, nawet w opisach. Dość przecież zacytować:

„Puszcza Piska zimą, zwłaszcza po ponowie, w czasie słonecznego dnia mieni się rozedrganym, żywym blaskiem drogocennych kamieni, kryształki śniegu iskrzą się jak brylanty. Aż oczy bolą od patrzenia. Powietrze, czyste jak lazur wody, którego spokoju nikt nie zmącił, faluje, pulsuje, drży, jak przezroczysta pajęczyna, utkana z różnokolorowych promieni światła".

Wiem, że to dziś niemodne. Dzisiaj, na wszystkie stressy i zmartwienia, modne jest połykanie lekarstw. Jakże często zapomina się, że przyroda przynosi człowiekowi uspokojenie w sposób naturalny. Przyznam się, że z prawdziwą ochotą jeżdżę na swoją działkę pod Łodzią, żeby pogrzebać w ziemi, żeby przyjrzeć się trawie, a może nawet posłuchać co w niej piszczy. W książkach „Młokos" a także „W pułapce" określiłem chyba mój stosunek do przyrody. Są to przecież powieści o leśnikach, a więc o ludziach, którzy niejako profesjonalnie stają w pierwszym szeregu walczących o ochronę naturalnego środowiska człowieka. Ta świadomość przynależna jest wielu ludziom na całym świecie, skoro ochroną naturalnego środowiska człowieka zajmuje się nawet Organizacja Narodów Zjednoczonych.

Zapisałem się do Polskiego Związku Łowieckiego, aby mieć możliwość bezpośredniego obcowania z przyrodą. Może to się wydać śmieszne, ale śnią mi się grzyby, które udało mi się znaleźć podczas rannej wyprawy do lasu. Coś z tego widzenia przeniosłem chyba do swoich książek.

— JAK PAN ROZUMIE OKREŚLENIE: „LITERATURA POZYTYWNA"?

Odpowiada: **ANDRZEJ MAKOWIECKI**

To chyba mało precyzyjne określenie, a w każdym razie bywa pojmowane zbyt wąsko, jednostronnie. Uważa się przecież zazwyczaj, że można je zredukować do samej afirmacji rzeczywistości, podczas gdy dla mnie „literatura pozytywna" może oznaczać także polemikę z treściami politycznymi czy trendami artystycznymi, a nawet gospodarczymi czy psychologicznymi, które są nam obce. Pewnie, że polemika niesie w sobie sporo niebezpieczeństw, ale nie należy przesadzać. Jeśli ukazuje się książka, która atakuje pewne obszary współczesności zjadliwie obnażając zjawiska negatywne, to już sam ten fakt świadczy przede wszystkim o mocy naszego kraju, nie zaś o jego słabości. Trzeba umieć patrzeć dialektycznie, a tani optymizm jest jeszcze bardziej szkodliwy. Dostrzeganie różnych stron rzeczywistości sprzyja ruchowi myśli tym bardziej, że pozycja wydawnicza nie jest zjawiskiem izolowanym, że poddana zostaje zdecydowanemu osądowi krytyków i recenzentów.

Uważam, że w naszej prozie potrzebna jest kontynuacja tego nurtu refleksji obywatelskiej, którą zaprezentował serial „Dyrektorzy". Był to serial „niebezpieczny", ale nie dla ludowej rzeczywistości, tylko dla twórców, zwłaszcza pisarzy i filmowców. Udowodniono nim bowiem, że o sprawach z pozoru nieciekawych, artystycznie skompromitowanych („produkcyjniak"!) można mówić pasjonująco. Oczywiście tylko wówczas, gdy zakład produkcyjny ukaże się nie poprzez robotniczo-techniczno-inżynieryjną armię Chrystusów, tylko przez pełnokrwistych ludzi z całą złożonością ich psychiki i motywów postępowania. Takie „niebezpieczne" widzenie w efekcie przynosi wyraźne zyski w sferze kultury.

Potrzebna jest nam literatura pozytywna, ale nie wazeliniarska, uproszczona, omijająca sedno spraw, bo schematyzm odebrany zostanie przez czytelnika jako literacki i artystyczny fałsz. A tych, którzy klaszczą jest w zasadzie mało.

Literatura pozytywna jest więc dla mnie synonimem literatury zaangażowanej, którą staram się uprawiać w różnych dyscyplinach: prozie powieściowej, reportażu, scenariuszu filmowym.

— SZANSE WSPÓŁCZESNEJ PROZY OBYCZAJOWEJ?

Odpowiada: **EUGENIUSZ IWANICKI**

Sądzę, że przed powieścią obyczajową powstała niebagatelna szansa: w ciągu ostatnich trzydziestu lat gruntownie zmieniły się zarówno układy społeczne jak i sposób wartościowania zachodzących zjawisk. Powieść obyczajowa ma więc tu niewyczerpane pokłady surowca, który można eksploatować bez obawy, że zabraknie tematu. Co roku ukazuje się kilka, a może nawet kilkanaście książek poświęconych obyczajności Lechitów lat powojennych, ale jak dotąd nie zjawiła się jakaś książka wybitna, jedyna, taka, co to kiedyś mogłaby się stać przysłowiowym signum tempore.

Należy dostrzec także inny znamienny szczegół: wzrost wymagań ze strony czytelnika. Dziś nie do pomyślenia jest wydanie „czytadła" ze łzawą fabułką o bogatym arystokracie i biednej a pięknej pomocy domowej (zawód: służąca — umarł w wyniku zrównania klas).

Marzy mi się książka rzeka, szeroka rzeka polskich losów, taka co to będzie bardzo typowa dla powojennych pokoleń, a jednocześnie będzie opowieścią o życiu moim, moich sąsiadów, znajomych. Książka ogarniająca wszystkie warstwy społeczne, wszystkie zawody, będąca samym życiem. Taka książka — rzeka z dziesiątkami dopływów i strumieni w nią wpadających wypełniałaby lukę istniejącą wśród ogromnej masy publikacji określanych mianem „prozy obyczajowej".

Właśnie w tego typu zamierzeniach i dążeniach upatruję szansę rozwoju naszej prozy i nie tylko obyczajowej, ale prozy jako takiej w ogóle.

— CZY POWIEŚĆ POLITYCZNA MA PRZYSZŁOŚĆ?

Odpowiada: **JERZY WAWRZAK**

— Odpowiedź nie jest łatwa. Nie dlatego, że dotykamy tu futurologii. Samo rozumienie terminu „powieść polityczna" nastręcza najwięcej kłopotów. Spróbuję jednak głośno pomyśleć, bo zamarkowany problem ma swoją wagę, a jako autor „Linii" zdobyłem pewne doświadczenie w tej materii... Otóż sądzę przede wszystkim, że o powieści politycznej musimy mówić raczej w czasie przyszłym. Dotychczasowe dokonania w tym zakresie nie zadowalają bowiem ani czytelników, ani samych autorów. Znaczące, a czasami wybitne książki takich pisarzy jak Putrament, Bratny, Hołuj, Machejek, Kogut i kilku innych autorów — nie mogą „załatwić sprawy". Przynajmniej w moim rozumieniu, gdyż od lat debiutu trwam w przekonaniu, że głównym sensem uprawiania literatury jest jej społeczna misja, jaką ma przede wszystkim do spełnienia. Zastrzegając się, że pod pojęciem „społeczna misja" rozumiem cały szereg złożonych zjawisk, ich wzajemne uwarunkowanie, to wszystko co składa się na skomplikowany obraz współczesności. Idąc tym tropem wyobrażam sobie jakąś konieczność, dzięki której powstaną książki, dla których jeszcze nie mamy określenia, a krytycy — odpowiedniej szuflady, książki, których treści będą treścią naszego życia. A czy w życiu uciekniemy od polityki? Ona decyduje o obliczu świata, losach narodów i każdego człowieka. Każdego człowieka — dosłownie i w przenośni. Ale czy to z kolei wyklucza dalszą penetrację zjawisk etyczno-moralnych, obyczajowych, psychologicznych, wypiera z miejsc im przynależnych pracę i miłość? Oczywiście, nie! Jest to tylko kwestia proporcji, hierarchii, świadomości celów. W takim ujęciu widzę optymistycznie przyszłość powieści politycznej... Obecnie kończę powieść „Archipelag Polonezja", która według moich pobożnych życzeń mieści się w zarysowanym powyżej obszarze. Jednak, jak powszechnie wiadomo, pobożnymi życzeniami piekło wybrukowane i za skutek głowy nie daję.

W związku ze śmiercią literata

BOLESŁAWA DUDZIŃSKIEGO

wyrazy serdecznego współczucia Rodzinie Zmarłego składają

ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH
w Łodzi
Redakcja „ODGŁOSÓW"

PROSZĘ O GŁOS

PROGRAM DO POPRAWKI

Ostatnie słowa w dyskusji „Odgłosów" na temat przyszłej dziesięciolatki wyrażają nadzieję, że „dobrze będzie". Oczywiście nie sposób dopuścić myśli, że mogłoby być źle. Ale przeczytałem w „Kulturze" artykuł Antoniego Chojnackiego pt. „Program do poprawki" i poważnie się zaniepokoiłem. Rzecz dotyczy programu nauczania historii literatury w nowej dziesięciolatce.

Chojnacki pisze: „Epoki renesansu nie będzie się ilustrować „Odprawą posłów greckich" Kochanowskiego (pierwszy polski dramat!), przełomu renesansu i baroku nie będzie określać liryka Sępa-Sarzyńskiego, epoki oświecenia — „Monachomachia" Krasickiego, czy komedie Niemcewicza, Zabłockiego i Bogusławskiego, jak też publicystyka Staszica, Kołłątaja czy Jezierskiego. Epokę romantyzmu musi uczeń poznać bez największego polskiego dramatu, czyli bez III części „Dziadów" (?!), naturalizm bez „Moralności pani Dulskiej", Młodą Polskę bez „Wesela" Wyspiańskiego (?!) i „Popiołów" Żeromskiego, Dwudziestolecie bez dramaturgii Witkacego i Szaniawskiego, bez „Granicy" Nałkowskiej, bez prozy Schulza i Gombrowicza, bez poezji Czechowicza, literaturę okupacji bez poezji Baczyńskiego (!)..."

Wystarczy, aby wpaść w panikę. Sięgnąłem więc po „Wstępną wersję programu dziesięcioletniej szkoły średniej", wydaną przez Instytut Programów Szkolnych i — niestety — wszystko się zgadza. Dopiero w klasie dziesiątej znajdujemy wśród lektur pominięte w klasach poprzednich przy omawianiu epok, niektóre tytuły dzieł, wymienione przez Chojnackiego.

Więc pozornie wszystko jest w porządku? Niestety, tylko pozornie. Czytam bowiem, że są to lektury „przeznaczone do wykorzystania w toku zajęć w liczbie uznanej przez nauczyciela za odpowiednią do zrealizowania tematu" (podkreślenie moje). A zatem nie jest to lektura obowiązkowa. Może się więc zdarzyć, że szkołę dziesięcioletnią będą opuszczać absolwenci, których ominie lektura najważniejszych dzieł polskiej literatury. Przecież temat: „Za wolność waszą i naszą" może nauczyciel uznać za wyczerpany przy pomocy — przykładowo — „Wiernej rzeki", „Pana Tadeusza" i „Ludzi podziemnych" Struga, pomijając „Wesele" Wyspiańskiego, „Dziady" Mickiewicza i „Redutę Ordona". Lista lektur do tego tematu zamyka się liczbą około 20 pozycji. Tak więc rzeczą nauczyciela, jego dobrej woli, wygodnictwa, inteligencji — będzie wybranie, albo utworów „łatwych i krótkich", albo „trudnych i dłuższych". A poza tym, dlaczego w spisie lektur tego tematu nie ma rzeczywiście w ogóle Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, jednego z największych poetów polskich ostatniego półwiecza?

W spisie lektur do tematu „Literatura i scena" nie ma rzeczywiście w ogóle żadnej sztuki Zapolskiej. W spisie lektur do tematu „Jednostka wobec problemów otaczającego ją świata", nie ma „Ferdydurke" Gombrowicza... W spisie lektur do żadnego tematu nie ma „Popiołów" Żeromskiego.

I z tego okrojonego wyboru lektur nauczyciel ma jeszcze wybierać.

Kto potrafi dać gwarancję, że ów wybór nie będzie otwarciem furtki do rozwiązań po linii najmniejszego oporu?

A w ogóle ten układ programu sprawi, że zniknie raz na zawsze jednolity system wykształcenia. Co szkoła, co nauczyciel — to inny poziom i zakres wiedzy o polskiej literaturze. Świadomość literacka (a więc historyczna i patriotyczna świadomość) młodego pokolenia będzie losem na loterii, zależnym od poziomu, chęci i wiedzy konkretnego nauczyciela.

Te uwagi nie są, broń Boże, votum nieufności dla polonistów. Jest to votum nieufności dla programu, który na barki nauczyciela składa zbyt wielki ciężar decyzji.

Antoni Chojnacki pisze: „Jednym z ważnych powodów tak znacznego zubożenia listy lektur mogłoby być także — jak się wydaje — rozszerzenie programu języka polskiego o liczne ćwiczenia językowe oraz poszerzenie zakresu wiedzy z tzw. kultury współczesnej, jak również wprowadzenie zajęć fakultatywnych. Doceniając w pełni rolę ćwiczeń językowych, obawiałbym się fetyszyzacji tej sprawy. W końcu nie tylko jest ważne, jak mówimy, ale także, co mówimy. Poważne zubożenie toku historyczno-literackiego może spowodować niebagatelne ubóstwo intelektualne, może prowadzić do kształtowania prymitywnych osobowości".

Święta prawda — już dziś mogę sobie wyobrazić, jaki program nauczania literatury opracują za ileś tam lat absolwenci kształceni według programu dziś dyskutowanego. Wtedy nawet ćwiczenia językowe zastąpione zostaną ćwiczeniami gimnastycznymi.

JERZY WILMAŃSKI

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU

Ogólnopolski Konkurs na Reportaż i Fotoreportaż o Łodzi Nowoczesnej został zorganizowany przez redakcję łódzkiego „Expressu Ilustrowanego" w 30-lecie istnienia gazety. Konkurs miał na celu zaprezentowanie mieszkańcom całego kraju przeobrażeń jakie zaszły w naszym mieście w wyniku decyzji Biura Politycznego KC PZPR i Prezydium Rządu w sprawie modernizacji Łodzi i jej przemysłu.

Do Łodzi przyjechali przedstawiciele wszystkich największych polskich tygodników, oraz dziennikarze gazet stołecznych i pism popołudniowych z całego kraju.

Jury w składzie:

Urszula Plażewska — członek KC PZPR, **Wojciech Drygas** — prezes Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, **Marek Regel** — redaktor naczelny „Expressu Ilustrowanego", przewodniczący jury, **Jerzy Wawrzak** — prezes Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich, **Jerzy Panasewicz** — sekretarz jury, **Wojciech Ekiert** — Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, **Michał Strzelecki** — „Express Ilustrowany"

na posiedzeniu w dniu 18 maja 1976 r. wysoko oceniło wkład uczestników konkursu w sprawę popularyzacji osiągnięć Łodzi na łamach prasy krajowej.

Ze względu na bardzo dobry i wyrównany poziom a także dużą ilość nadesłanych prac, jury postanowiło również zmienić wysokość i rozszerzyć listę nagród.

W dziedzinie reportażu:

I nagrodę przyznano **Janinie Paradowskiej z „Kuriera Polskiego"** za publikację pt. **„Bawełna bez kompleksów"**.

II nagrodę przyznano **Jerzemu Piekarczykowi z „Echa Krakowa"** za cykl publikacji pt. **„Ziemia nadal obiecana"**.

Dwie III nagrody otrzymały: **Halina Jaworska z „Expressu Wieczornego"** za publikację pt. **„Feniks" odlatuje na Stoki"** oraz **Teresa Zwierzchowska z „Wieczoru Wybrzeża"** za publikację pt. **„Łódź rozwija żagle"**.

Wyróżnienie przyznano: **Jerzemu Kurpecie z „Wieczoru" (Katowice)** za publikację pt. **„Spotkania z Łodzią"**.

Ewie Sonnenwend z „Expressu Poznańskiego" za publikację pt. **„Przygoda z miliardami"**

St. Świątkowi z „Nowości" (Toruń) za cykl publikacji pt. **„Popatrzmy na Łódź"**.

Nagrody specjalne otrzymały **Grażyna Murawska z „Czasu"** (Gdańsk) — za artykuł **„Merkury za progiem"** i **Janina Paradowska z „Kuriera Polskiego"** za artykuł pt. **„Jesień pod gołębiami"**.

W dziedzinie fotoreportażu I nagrody postanowiono nie przyznawać.

II nagrodę otrzymał **Stefan Dźbikowski ze „Zwierciadła"** za fotoreportaż pt. **„Łódź w rytmie przeobrażeń"**.

III nagrodę otrzymał **Tadeusz Trepanowski z „Panoramy Północy"** za fotoreportaż pt. **„Dywanowa mozaika"**

Wyróżnienie otrzymał **Zbigniew Furman z „Życia Warszawy"** za cykl zdjęć pt. **„Przedstawiamy"** prezentujący łódzkich robotników.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji).
Stale współpracują: ANDRZEJ MAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

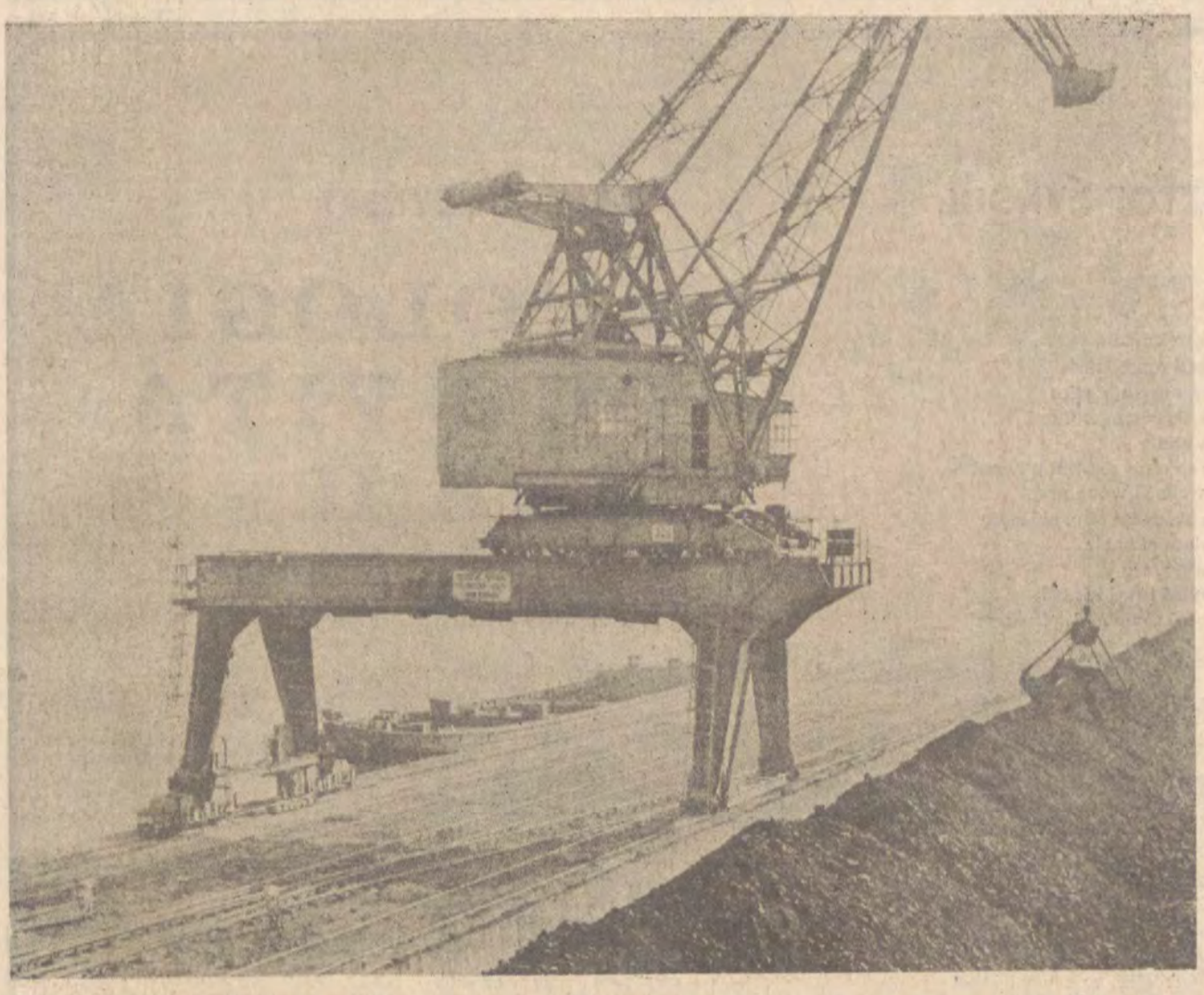

KROKODYLA DAJ MI LUBY

Dalszy ciąg ze str. 1

W gospodarce rozwijanej planowo eksport i import muszą być podporządkowane naczelnym zasadom gospodarczym. Ta prawda znajduje się jednak dość daleko od szyby wystawowej sklepów i magazynów, przez którą rezultaty naszego handlu zagranicznego oceniają Jan Kowalski i Jan Nowak. Patrzą na wystawę sklepową i ani im przez głowę nie przyjdzie myśl, że sklepowa wystawa ma związek nie tylko z aktualnie kształtującymi się na rynkach światowych cenami na miedź, siarkę, węgiel, pasze, nawozy sztuczne, tkaniny, ale także z wydajnością ich pracy. Jan Kowalski i Jan Nowak patrzą na sklepową wystawę nie przez pryzmat całej gospodarki, a przez pryzmat własnych potrzeb, możliwości i dążeń. Czy można im się dziwić? Nie, ale też trzeba zmierzać do tego, aby **dążenia jednostkowe uwidaczniały się w dążeniach ogólnych.** I odwrotnie, aby **dążenia ogólne tłumaczyły i warunkowały dążenia jednostkowe.**

„W życiu każdej zbiorowości — pisał niedawno w „Trybunie Ludu" Ryszard Wojna — **każdego narodu i państwa ścierają się ze sobą niemal stale dwa pierwiastki, stanowiące skądinąd dialektyczną całość: poczucie wspólnoty i egoizm interesów partykularnych. Jednakże w różnych narodach i w różnych okresach ich dziejów różnie się to rozkłada".**

Różnie to bywało i w naszej historii. Mamy silnie rozwinięte poczucie wspólnoty, co daje się zauważyć w okresach szczególnych, kiedy wspólnie przeżywamy troski i radości, kiedy nie szczędzimy ojczyźnie ofiarności i poświęcenia. Ale też silnie mamy rozwinięte poczucie owego — jak to nazywa Ryszard Wojna — **„egoizmu interesów partykularnych".** Wyraża się to między innymi brakiem umiejętności myślenia w skali państwa. W okresach stabilizacji, kiedy nie ma sytuacji szczególnych, zaciera się poczucie wspólnoty, a nad interesem ogółu zaczynają dominować interesy jednostkowe.

Jan Kowalski i Jan Nowak stojąc przed sklepową wystawą nie mają w pamięci struktury polskiego eksportu i importu. Czy ich to nie interesuje? Tego nie byłbym taki pewny. Żartobliwie nieraz mówimy, że Polacy najlepiej znają się na wychowaniu, oświacie, medycynie i gospodarce. Spotkawszy się na towarzyskim wieczorku potrafią godzinami dyskutować o „naprawie Rzeczypospolitej", a bierze się to stąd, że zdają sobie sprawę, może nie zawsze najdokładniej, ze wzajemnych związków tych dziedzin życia i ich wpływu na losy każdego z nas.

Dlaczego zatem pryzmat wystawy sklepowej potrafi przesłaniać obraz dynamicznie rozwijającej się gospodarki? Decyduje o tym stan świadomości społecznej, w której **na dialektyczną jedność przeciwieństw między tym, co ogólne a tym, co jednostkowe patrzy się w sposób niedialektyczny.**

INNA STRUKTURA

Szczycimy się i słusznie — miejscem, jakie kraj nasz zajmuje we współczesnym świecie, uznaniem, jakie zdobyliśmy naszą pracą przeobrażającą nasz kraj. Ale nie zapominajmy przy tym, że wiele jeszcze mamy do zrobienia, że dorównanie innym, wyżej rozwiniętym krajom, to nie tylko nasza ambicja, ale i konieczność. Aby taki cel osiągnąć niezbędna jest współpraca międzynarodowa i szeroko rozwijana wymiana handlowa.

W 9 numerze **„Nowych Dróg"** z ubiegłego roku **Paweł Bożek** opublikował interesujące zestawienie na temat struktury naszego eksportu i importu. Wyroby poszczególnych gałęzi przemysłu zajmują następujący procent w całym eksporcie 1974 roku:

- paliw i energii — 15.9 proc.
- przemysłu elektromaszynowego — 39.4 proc.
- przemysłu metalurgicznego — 7.8 proc.
- przemysłu chemicznego 11.0 proc.
- przemysłu lekkiego — 8.8 proc.
- przemysłu spożywczego 9.5 proc.
- rolnictwa — 3.1 proc.

W tym samym 1974 roku w całości importu zajmowały wyroby przemysłów:

- paliw i energii — 5.5 proc.
- elektromaszynowego — 40.8 proc.
- metalurgicznego — 17.4 proc.
- chemicznego — 12.3 proc.
- lekkiego — 5.1 proc.
- spożywczego — 5.3 proc.
- rolnictwa — 7.9 proc.

Ludzie czasem gotowi są eksportem tłumaczyć różne doraźne trudności i kłopoty gospodarcze czy handlowe. A przecież eksport jest jednym z elementów polityki gospodarczej. Musimy eksportować różne wyroby po to, aby móc później importować, ale jednocześnie eksport jest formą konfrontacji naszego poziomu wytwarzania z tym, co i jak robią inni. Rynki zagraniczne zdobywa lepszy towar, bardziej konkurencyjny. Eksport jest też czynnikiem wpływającym na różnorodność i jakość towarów wytwarzanych na potrzeby rynku wewnętrznego.

Przyjęliśmy koncepcję dynamicznego rozwoju naszej gospodarki po to, aby móc skutecznie podnosić poziom naszego życia. W szybkim tempie unowocześniamy przemysł, importując nie tylko maszyny, urządzenia, ale technologie, kupując zagraniczne licencje. **W latach 1971—1974 kupiliśmy i wprowadziliśmy w życie około 200 licencji.** I tak będziemy postępowali nadal, unowocześniając jednocześnie kupione licencje, gdyż tylko w ten sposób można dokonać liczącego się w świecie skoku ilościowego i jakościowego. Ale dynamiczny rozwój naszej gospodarki wymaga też systematycznego kupowania za granicą surowców i materiałów. **Obecnie około 16 proc. materiałów i surowców potrzebnych naszej gospodarce kupujemy poza granicami kraju.** Kupujemy rudę żelazną, ropę naftową, wyroby walcowane, produkty chemiczne, cynę, aluminium, bawełnę, wełnę, skóry surowe, celulozę. Modernizujemy przemysł ciężki, maszynowy, chemiczny i lekki i dla tych przemysłów kupujemy maszyny i urządzenia. **W latach 1971—1974 import tych urządzeń i maszyn zwiększył się o 122 proc., a udział towarów tzw. inwestycyjnych — między innymi maszyn i urządzeń przeznaczonych dla nowych fabryk i fabryk modernizowanych — zwiększył się z 15,3 proc. w 1970 roku do 22 proc. w 1974 roku.**

INNE SPOJRZENIE

Unowocześniane fabryki, wyposażane w nowoczesne maszyny i technologie muszą dawać wyroby wyższej jakości, odpowiadające współczesnym wymaganiom odbiorców. Jan Kowalski i Jan Nowak stając wraz z małżonkami przed sklepowymi witrynami też rozglądają się za towarami wyższej jakości, nowocześniejszymi, odpowiadającymi ich wyższym wymaganiom i ich wyższemu standardowi życia. Dysponują oni już dziś większą gotówką niż przed kilkoma laty i mają pretensje, że za tym i owym trzeba pochodzić, że nie wszystko, na co aktualnie mają ochotę znajduje się w zasięgu ich ręki. Jednakże w świadomości swojej nie zawsze wiążą ze sobą stany zaopatrzenia sklepów z jakością swojej pracy.

Nowo wybudowana fabryka otrzymała nowoczesne wyposażenie, nowoczesną technologię. Wszystko to objęła w posiadanie młoda załoga. Wydawałoby się, że w takiej fabryce szybko dojdzie się do planowanych możliwości produkcyjnych, że będzie ona przodowała pod względem jakości produkcji w całym przemyśle, do którego należała. Celowo nie wymieniam nazwy tej fabryki, bo chodzi mi o pewne zjawisko, a nie konkretny przypadek, a po drugie — miał on miejsce w kilku fabrykach. Tymczasem rzeczywistość okazała się inna. W owej fabryce dłużej niż w innych dochodzono do planowanych możliwości produkcyjnych, a poza tym wystąpiły kłopoty jakościowe. Produkowane towary zwracali odbiorcy krajowi i zagraniczni, zgłaszając słuszne reklamacje dotyczące jakości tych towarów. Dlaczego tak się działo?

Odpowiedź jest niezwykle prozaiczna. Otóż młodzi robotnicy i młode robotnice nie mając własnych domów, a mieszkając przy rodzicach i prowadząc z nimi wspólne gospodarstwo nie mieli wysokich potrzeb. Zadowalali się zarobkami, które zaspokajały ich osobiste potrzeby. Robili „co do nich należy" nie odczuwając potrzeby podnoszenia jakości produkcji, szukania nowych rozwiązań, które wpływałyby na ich zarobki. W ich świadomości **wydajność pracy i wyższy poziom życia nie wiązały się wzajemnie.** I chyba nie tylko w ich świadomości.

Uchwała VII Zjazdu PZPR wyraźnie określa strategie społecznej i gospodarczej polityki:

„Zgodnie z zasadą sprawiedliwości społecznej należy nadal umacniać związek między ilością i jakością pracy a poziomem wynagrodzeń. Sprzyjać temu powinno upowszechnianie i dalsze doskonalenie zasad systemu ekonomiczno-finansowego przedsiębiorstw, zmierzające do powiązania funduszu płac i zarobków pracowniczych z poprawą efektywności pracy."

W świadomości społecznej nie utrwaliło się jeszcze przekonanie, że **tym więcej będę otrzymywał im więcej będę dawał.** Sprzeczność między tym, co jednostkowe a tym, co ogólne zbyt często jest jeszcze rozwiązywana na korzyść interesów jednostkowych, bez wiązania ich z interesem ogólnym. Nie funkcjonuje jeszcze w pełni świadomość wzajemnych powiązań, jakie występują w gospodarce narodowej. Traktuje się je nie w sposób dialektyczny, a więc osobno, jako istniejące obok siebie, a nie wzajemnie się przenikające i uzależniające. Dominuje przekonanie, że skoro „robię co do mnie należy", to wszystko jest w porządku i o resztę niech martwią się inni. Otwartym jednak pozostaje pytanie: j a k „robię to, co do mnie należy"?

ZWIĄZKI

Prowadzimy gospodarkę otwartą, to znaczy taką, która swoje cele może osiągnąć również poprzez szerokie kontakty zagraniczne. Kupujemy za granicą surowce, maszyny i urządzenia, aby móc produkować więcej, lepiej i nowocześniej. Chcemy dotrzymywać kroku innym nie tylko z narodowych ambicji, ale i dlatego, aby nam żyło się lepiej. Osiągnięcie takiego celu zależy też od tego, jak pracujemy i będziemy pracowali. Jednakże związki naszej gospodarki z gospodarką światową nie pozostają bez wpływu na rynek krajowy.

Swego czasu problem cen sprowadzało się do kategorii politycznych, zapominając, że należy je rozpatrywać przede wszystkim w kategoriach ekonomicznych. Państwo socjalistyczne ma oczywiście możliwości niwelowania ujemnych skutków wpływu cen światowych na ceny krajowe, ale też są to możliwości ograniczone. Taka możliwość jest jednym z elementów polityki społecznej państwa. Państwo tworząc system cen zapewnia równowagę na rynku, a także oddziaływuje na wielkość produkcji i spożycia. Może ceny na towary powszechnego użytku ustawiać w pobliżu wartości tych towarów, a ceny na inne towary — szczególnie luksusowe — znacznie powyżej wartości, aby tym pokrywać straty ponoszone tam, gdzie ceny są poniżej kosztów wytwarzania, lub przynoszą tylko niewielki zysk. Dzięki temu można było na pewien okres zamrozić ceny na podstawowe artykuły spożywcze.

Jednakże — jak to powiedział na VII Zjeździe PZPR I sekretarz KC PZPR, Edward Gierek:

„W ramach elastycznej polityki nieuniknione są również zmiany cen tam gdzie tego wymagają warunki społeczno-ekonomiczne. Konieczność określonych podwyżek cen powodują najczęściej czynniki od nas niezależne. Wśród nich główną rolę odgrywa wpływ inflacyjnego wzrostu cen na rynkach kapitalistycznych. W latach 1974—1975 odczuwaliśmy poważnie skutki tego wzrostu..."

Ruch cen jest więc rzeczą nieuniknioną i naturalną, a staje się niebezpieczny wtedy, kiedy obniża realne płace. W materiałach VII Zjazdu PZPR mówi się wyraźnie, że **nieuchronny ruch cen nie może wpłynąć ujemnie na planowany w bieżącym pięcioleciu wzrost realnych płac.** Ale też ten wzrost nie nastąpi automatycznie, samoczynnie. Zależy on bowiem od wzrostu wydajności pracy, od jej wyników. I o tym nie wolno zapominać.

Koncepcja Polski nowoczesnej i dostatniej odpowiada narodowym interesom i ambicjom. Nie jest to też koncepcja daleko odsuwająca cel w przyszłość. Praktyka ostatnich kilku lat dowiodła, że działając w warunkach przyspieszenia można ten cel szybko osiągać, każdy z nas musi jednak stawiać przed sobą wyższe wymagania i umieć skuteczniej działać. Realizacja tej koncepcji rodzi jednak różne trudności i napięcia, które trzeba umieć też przezwyciężać i być na nie przygotowanym. Partia stawiając taki cel przed całym społeczeństwem nie warunkuje go doraźnymi wyrzeczeniami, a jedynie mobilizacją do lepszej i wydajniejszej pracy. A to jest i możliwe i konieczne.

Mówimy bardzo często, że dzięki rozwojowi środków komunikacji, dzięki telekomunikacji, radiu i telewizji świat nam wyraźnie zmalał, skurczył się. Jest to prawda. Za naciśnięciem guzika lub po przekręceniu gałki możemy być uczestnikami wydarzeń, które dzieją się w różnych punktach naszego globu. Ale to zmalenie współczesnego świata odbywa się nie tylko w dziedzinie przepływu informacji, dokonuje się też ono i w innych dziedzinach, również w gospodarce. I dlatego na dialektyczną jedność przeciwieństw między tym, co ogólne a tym, co jednostkowe trzeba uczyć się patrzeć w **sposób dialektyczny, to znaczy dostrzegać wzajemne związki i zależności.** Nie jest to sprawa łatwa, ale jest niezbędna.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NIE TYLKO HISTORIA

Z REMANENTU

Czasem tak się zdarza, że nowa, świeżo wypieczona w wydawniczo-drukarskim tyglu książka, skoro już raz się do niej zagląda, skłania do sięgnięcia do publikacji dawniejszych, przypomina coś, na co chciałoby się zwrócić uwagę mimo, że nosi starszą datę. A z datami umieszczanymi na tytułowych kartach książek bywa u nas rozmaicie: coraz częściej dają one świadectwo temu, kiedy planowano wydanie danego dzieła, nie zaś temu, kiedy się ono ukazało. Jest bowiem rzeczą notoryczną, że bodaj przez cały pierwszy kwartał każdorazowego nowego roku pojawiają się liczne nowe publikacje, opatrzone datą roku poprzedniego. Nie dlatego, aby ktoś tam nie znał się na kalendarzu, wręcz przeciwnie, z powodu, że zna się świetnie na kalendarzu planowania i sprawozdawczości, który w edytorskiej machinie często liczy się bardziej, niż jakiś tam zwykły kalendarz dla wszystkich ludzi, którego przecież nie zatwierdzał żaden centralny zarząd, ministerstwo czy kolegium.

Książka, o której chciałbym dziś skreślić parę słów, jest właśnie tego rodzaju produktem sztucznie postarzonym przez mechanizm planowo-wydawniczy: na metryczce napisano, że druk ukończono w grudniu 1974 r., podczas kiedy pozycja faktycznie ukazała się w 1975 r., od razu nie będąc edytorskim niemowlęciem. Dotarła do mnie znacznie później mimo, że skrupulatnie przeglądam półki księgarskie, a to już z innego powodu: kolportaż tzw. wydawnictw regionalnych rzeczywiście nie wygląda najlepiej, bowiem dystrybucja książek na ogół jest dopasowana do tego, że powinny się one ukazywać w stolicy. Ta zaś, o której tu mowa, pojawiła się gdzie indziej, mianowicie w Lublinie, chociaż dotyczy postaci jak najsilniej związanej z życiem kulturalnym i naukowym Warszawy, mianowicie Wacława Nałkowskiego.

Mowa o książce **Romana Rosiaka** „Wacław Nałkowski wobec pisarzy współczesnych" (Wydawnictwo Lubelskie 1974, faktycznie 1975), pracy bardzo interesującej i stanowiącej pożyteczne uzupełnienie naszych aktualnych lektur o polskim życiu umysłowym na przełomie XIX i XX stuleci, chociażby książek J. Żurawickiej o przyjacielu W. Nałkowskiego Ignacym Radlińskim czy nowej (nie tylko datą wydawniczą, ale sposobem ujęcia, w ogóle świetnej) rozprawy J. Tyneckiego o T. Micińskim.

Nie chodzi tu o działalność W. Nałkowskiego jako uczonego — geografa, którą zajmują się dziś historycy nauki, ale o jego aktywność publicystyczno-literacką, która sprawiała współczesnym niemało kłopotów, bowiem uczony był publicystą bezkompromisowym i błyskotliwym, potrafił z uporem bronić swego prawa do własnego zdania, nieraz świadomie i celowo szedł pod prąd burżuazyjnej opinii literacko-społecznej i zbierał za to cięgi od przeciwników najróżniejszego autoramentu. Z. Rosiak koncentruje się właściwie na dwóch wielkich „kampaniach" prowadzonych przez W. Nałkowskiego: na jego batalii antysienkiewiczowskiej oraz walce w tzw. sprawie S. Brzozowskiego w związku z oskarżeniem pisarza o współpracę z carską policją. Inne zagadnienia, o których mówi w rozdziale „Sądy Wacława Nałkowskiego o współczesnej mu literaturze", traktuje pobieżniej i krócej.

Nie wiem doprawdy, czy słusznie nie pojawia się np. w tej książce nawet ślad udziału W. Nałkowskiego w innej „kampanii", może nie tyle literacko-poblicystycznej, ale batalii o sposób uprawiania nauki historycznej, jaka rozgorzała wokół fantasmagorycznej, ale wielce u nas popularnej pod koniec ubiegłego stulecia, historiozofii Franciszka H. Duchińskiego, wokół teorii o „Arjach" i „Turańczykach", przeciw której z pełnym naukowym uzasadnieniem wystąpili ludzie tej miary, co W. Nałkowski, J. Baudoin de Courtenay i wielu innych, którzy historiozofię tę zredukowali do steku naukowych absurdów, dyskwalifikując ją pod względem naukowym, ale nie społecznym, skoro F. H. Duchiński mógł mieć u nas swych zwolenników jeszcze... w czasie I Wojny Światowej. Prawda, że nie był to spór czysto literacki, ale czyż godziło się go ominąć, skoro poglądy zwalczane przez geografa-publicystę uważało za własne wielu wybitnych pisarzy z Wincentym Polem na czele? Ale to tylko pytanie pod adresem autora, na które można by dać najróżniejsze odpowiedzi.

Do dyskusji skłania jednak co innego: mianowicie emocjonalny stosunek autora książki do jej bohatera, który — odnoszę takie właśnie wrażenie z lektury książki R. Rosiaka — nie zawsze umożliwia obiektywizację sądów. Z ogromnym temperamentem referuje więc R. Rosiak walkę W. Nałkowskiego z poglądami H. Sienkiewicza: czyż jednak czytelnik tych świetnie napisanych kart nie odniesie wrażenia, że autor „Trylogii" to reakcjonista, jakich mało, którego należałoby wyrzucić na śmietnik? Czy te ustawiczne narzekania na to, że historycy literatury przemilczają wypowiedzi W. Nałkowskiego itd. — rozumie się w apologetycznej tendencji — nie tracą przesadą? A nasz autor nie zauważył (dlaczego??), że właśnie literacko-historyczna sienkiewiczologia... wydobyła udział jego bohatera w batalii przeciw H. Sienkiewiczowi, a nawet tekst W. Nałkowskiego znalazł się w antologii poświęconej „Trylogii" wielkiego pisarza, opracowanej przez T. Jodełkę (1962). Ani tej antologii, ani jej wydawcy, niestety w książce nie wspomniano. A szkoda: prócz tekstów jest tam sporo komentarzy, nieraz bardzo udatnych, zawsze wyważonych, co zaś nie zawsze da się powiedzieć o wywodach R. Rosiaka. Podobnie można mieć niejakie zastrzeżenia do pięknie napisanego studium o S. Brzozowskim w oczach W. Nałkowskiego: tu z kolei głęboka wiara autora w to, że stanowisko, jakie zajął jego bohater, było jedynie słusznym, szła w parze z nieuwzględnieniem ostatnich badań nad tzw. sprawą Brzozowskiego, historycznym i historyczno-literackich, z których można sobie wyrobić zdanie cokolwiek odmienne od tego, które niegdyś było własnym dla tak wielu postępowych pisarzy, publicystów i uczonych w naszym kraju.

Nie poruszam tu trzeciej, może najważniejszej sprawy, o którą zatraca, R. Rosiak, mianowicie zagadnienia oceny W. Nałkowskiego jako „pierwszego marksistowskiego krytyka polskiego". Zdanie to uważam za fałszywe, ale sprawę chciałbym rozważyć przy innej okazji. Na razie tylko przestroga: nie pasujemy na marksiste każdego wybitnego przedstawiciela postępowej myśli w Polsce, który tak czy inaczej odczytywał K. Marksa. Sprawa recepcji marksizmu — również w zakresie krytyki literackiej — w Polsce w XIX i początkach XX w. wciąż czeka na analityczne, zespołowe zbadanie i na pewno należy do pierwszoplanowych zadań naszej humanistyki.

LEKTOR

IRENEUSZ DOMIENIK

FRAMUGA

Poczułem w sobie coś niedobrego. To było jak
Drewniana okienna rama:
Brandbogen...
Wilgotna i pełna rdzawowilgotnych łusek
Drewniana okienna rama, którą trudno przytulić,
Której nie można polizać, której nie można
Zobaczyć. Ale którą można wąchać nosem pełnym
Szczeciniastych włosów
Strącając płaty farby na ziemię, która jestem
Ziemią, na mur, który jestem murem, na drzewo,
Które jestem drzewem, na głowę, która jestem
Przechodniem.
Ogólnie rzecz biorąc drewniana okienna rama
Jest w murze, mur jest w ziemi, ziemia jest
Pod nogami, a nogi są z tamtej strony. By sięgnąć
Jeszcze dalej, trzeba spytać dziecka, ale dziecko
Ma misia, ma piszczące zajączki ma plastikowe
Samochodziki, ma gadającą lalkę i jeszcze
Nie potrafi wzruszać ramionami. Nikt dotąd nie spytał
W odpowiednią porę. (dziecka można spytać tylko
Za późno).
A ja poczułem w sobie coś niedobrego. To było jak
Drewniana okienna rama:
Brandbogen...
Śmierć w muślinie, śmierć na stosie, wszystkie piekła
I czerwienią mini malowane kadłuby statków
Łuk tryumfalny, łuk prostokąt
Łuk pomylony kinkiet wielkiej lampy
Słońce.
Nawet przechodzień z czerwonymi strupami we włosach
Jest bezradny.
Patrzy na czterolinię rysowaną po asfalcie staranną
Ręką. Prawą ręką trzymaną przez lewą rękę pełną prawej
ręki. Pełną napięcia, po której suną pantografy...
To było w wykradzionej chwili, trudno powiedzieć
Wykradzionej komu.
Na niebieskim tapczanie leżąc równolegle do ziemi,
Równolegle do sufitu, który jest w murze
Poczułem w sobie coś niedobrego.
Z dala od każdego okna. Przed snem lub bardzo rano
Przytuliłem policzek do płonącej, wilgotnej farby
Gasiłem z wolna pożar spękanego drzewa.
Brandbogen...
Elektryczny dzwonek z wysokiej wieży Notre-Dame
Wzywał wszystkich wiernych do pracy. Wierni otwierali
Drzwi i okna,
Wychodzili na ulicę.
Po gotyckiej rozecie jeżdżą tramwaje
Badając nieskończoność koła...
Dlaczego zaprowadziłaś mnie do fryzjera, gdzie
W moich nozdrzach zakręcono wspaniałe, pachnące loki?
Jesteś okrutna, Kirke.

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

WYBÓR

Istnieć. To jedno mam do wyboru, ale nie chcę, by śmierć nie była możliwa, gdy i jej zapragnę, skoro jest, jak istnienie w każdym momencie bytu.

Świt pełen był śmierci, bo pełen był istnienia,

Kocham życie i znam smak tej nienawiści, która suszy mi wargi

w tylu dniach bez niej.
Jestem, dopóki starczy dla mnie dni i nocy,
czasu, którego nie mierzę, choć nigdy go nie mam: jestem pewien

jego nieskończoności.
Niech trwa więc ta chwila,
w której wiem, że jestem. Na to odwagi mi nie brak.
Już nawet ten wiersz nie ma zakończenia.

MIROSŁAW KUŹNIAK

✠ ✶ ✠

Mijamy się w ciemnym korytarzu.
Ocieramy się o siebie,
szepcząc: nie bój się, to ja.
Znany tobie tak dobrze,
jak krwi przygłuszony szelest,
jak ręki nieopaczny gest,
jak migotanie cieni
na gładkich i spoconych twarzach.
Wspólny tak tobie,
że nie do odróżnienia.
Tak tobie pokrewny,
że już bezimienny.
Ty i ja.
Ja i ty.
Kiedy mijamy się w ciemnym korytarzu lęku,
ocierając się biodrami, parząc oddechem,
wierzymy, że na pewno któryś z nas
odnajdzie to małe mdłe światełko na końcu korytarza.

KRZYSZTOF ŻYNDUL

✠ ✶ ✠

Nie znam twego imienia
I nie wiem skąd przyjdziesz
Jesteś lampą na mym biurku
Piórem, które trzymam w dłoni
Zasłonami na oknie
I dzwonkiem co ciszą dzwoni u drzwi
Śmiało więc wchodź w me progi
Będę dobrym gospodarzem, obiecuję
Drzwi zostawiam otwarte
I czekam w milczeniu
A może już byłaś tutaj kiedyś
Lecz nie zastałaś mnie nad wierszem

MICHAŁ BOROŃSKI

TO NIE POWINIEN BYĆ BLUES

„Się" nie istniało dla niego na co dzień.
— To nie znaczy, że był nonkonformistą,
ani — że się lubował w pozie.

Nie ciążył też ku światu magistrów.
— Trudno powiedzieć, za czym tęsknił.
Widywano go czasem w bistro...

Jego świat nie był nonsensem,
nadpsutą wiąchą codziennych dni.
— A mówią o nim. że przepadł z kretesem...

HANNA KACEWICZ

Sprawdzanie

wracam do ciebie za siebie nierozwiązana
z węzłów bezbronnych palców potykam się
o siebie o ciebie w szparach okien i podłóg
przed dojściem do snu

nie dość zamknięciu oczu i pamięci
między godzinami nienazwania wyrywam siebie
z palcami z bólem ramion skaleczona
rozbitą chwilą

wychylam się z siebie na długość oddechu
przedłużam krok czy można odskoczyć
przebić się ruchem za siebie za ciebie

sprawdzam miejsce
gdzie zostawiam siebie bez ciebie
wracam skąd przychodzisz jestem tam
chociaż mnie nie ma

maj 1976

KRZYSZTOF SMOCZYK

✠ ✶ ✠

są takie chwile
kiedy mój rozpędzony
pociąg poezji staje dęba
z hukiem piętrzą się wagoniki słów
i oto jestem właścicielem kupy złomu

ale bo czymże jest pisanie wierszy
jeśli nie przewożeniem nitrogliceryny

my szaleńcy kochamy te chwile
kiedy tracimy oddech i staje nam serce

a
z drzew
w teatralnej ciszy
obsuwa się na głodny
bęben ziemi grad owoców

FELIKS RAJCZAK

✠ ✶ ✠

Surowy ostry wiatr
Nad opoką wieje.
Więc czymże jest nasz płacz
Jeśli kamienieje?

ADAM KUCZYŃSKI

APOLOGIA PRO VITA MEA II

działo się to w roku czterdziestym ósmym w maju
wypróżniłem się po raz pierwszy
moja matka i siostra położna pokiwały głowami
a więc urodziłem się po to.

po paru latach pomyślałem
żeby poszukać kontynuacji konkretnych znaków istnienia
i wytłumaczyć sobie, że nie tylko po to się urodziłem.
dalejże więc
znęcać się nad zasmarkanymi, zdewaluowanymi mędrcami,
legendarnymi popłuczynami
wielkich nababów
które nie jednemu ostrugały mózg
w historycznych książkach.

urodziłem się po to
by uwielbiać wszystko co uwielbiać należy
także niewiasty chore
o sparaliżowanych, zachłannych członkach
które nie zdając sobie sprawy z kalectwa
cieszą się każdą zdobyczą.

często co prawda płaczą
ale reflektują się szybko w okolicy lustra
i w wyszczerbione policzki wklepują nasienie polleny.
lubię obserwować
kiedy poszczypują zeschłe filety swych pośladków.

urodziłem się po to
aby się nudzić wśród najwierniejszych przyjaciół
ziewając spacerować w umeblowanych miastach
po wybrukowanych gruntach
oczekując na generalne zapłodnienie.

ukradłem dla siebie sumienie
czyste
wieczorami farbuję je wilbrą na granatowo
żeby się nie wyróżniało
(ciężko jest dzisiaj ukraść produkt w zadowalającym kolorze)
tak więc
nienawidzę: trolejbusów, młynków do kawy, przebiegni,
pomp ssąco-tłoczących, akwariów, spalonych
mostów, sportów zimowych i letnich, brydża
i tym podobnych
nie lubię: czosnku
*nie chcę: mieć do czynienia z .....*facetami*
z naprzeciwka szczególnie przed śniadaniem
nie pragnę: mojej żony (ani żadnej rzeczy która nią jest)
mierzę: 180 cm (178 wieczorem)
ważę: 71 kG (nago)
mam: 27 lat
x) wpisać odpowiadający przymiotnik

Rzeźby Stanisława Romaniaka

PIOTRKÓW: SIŁY NA ZAMIARY

Dalszy ciąg ze str. 1

BAZA

Województwo piotrkowskie posiada liczną grupę twórców uprawiających różne rodzaje twórczości: **pisarzy i poetów — 16, dziennikarzy — 9, dokumentalistów literackich i autorów przewodników — 15, muzyków — 23, artystów plastyków — 15, artystów fotografików i filmowców — 7, pracowników nauki i publicystów naukowych — 14, ludzi uprawiających artystyczne tkactwo, hafciarstwo, koronkarstwo, garncarstwo, ceramikę, kowalstwo — 182, członków zrzeszonych przy Korespondencyjnym Klubie Młodych Pisarzy — 216.**

Jest to pokaźna grupa, zaczyn, który rokuje dobry początek. Z chwilą powołania **Wojewódzkiego Klubu Stowarzyszeń Twórczych i Społecznych** twórcy otrzymają status prawny. Ale i tu, jak zresztą w innych dziedzinach życia młodego województwa zaczęto od organizacji, od propagowania poszczególnych środowisk, od przyzwyczajania ludzi do tego, że te środowiska istnieją, że nie jest to towar importowany lecz wyrosły na tej ziemi, z nią związany. Wynika stąd konsekwencja wyboru modelu kultury.

Wybrano model kultury twórczej. To była życiowa konieczność dla środowiska i jego istnienia. Ograniczanie się tylko do odbioru tego, co zostanie dostarczone z zewnątrz powoduje regres, spycha nawet najbardziej słuszne inicjatywy w uliczkę bez wyjścia.

O wyborze takiego modelu zadecydował najcenniejszy czynnik, jakim jest człowiek-twórca — człowiek-działacz i propagator kultury. Daje to bowiem szansę tym najzdolniejszym, utalentowanym. Pozwoli wejść na mapę kulturalną kraju, jeśli nie z poczuciem równości, to w każdym razie w przekonaniu szeroko pojętego partnerstwa wobec licznych, zorganizowanych od dziesięcioleci środowisk twórczych.

Zaczęto skromnie, od publikacji wierszy związanych z VII Zjazdem PZPR w **„Gazecie Ziemi Piotrkowskiej"**, potem ogłoszono parę konkursów: z okazji Roku Kobiet oraz XXX rocznicy powołania ORMO. Odkryto przy okazji parę talentów, poetów nie skażonych jeszcze akademizmem ani modą na udziwnianie. Nie tak dawno powstał **Piotrkowski Klub Literacki.** Aktualnie mieszka na terenie województwa dwóch pisarzy, członków Związku Literatów Polskich, kilku pisarzy jest po debiutach książkowych: **Rafał Orlewski, Adam Puto, Janusz Mieszczankowski, Bolesław Wojewódzki.**

Od lat dziewięciu działa tu oddział **Towarzystwa im. A. Mickiewicza,** a prelegentami na sesjach byli znani naukowcy, zasłużeni dla nauki polskiej i polskiej kultury. Wystarczy wspomnieć profesorów: Juliana Krzyżanowskiego, Artura Hutnikiewicza, Kazimierza Wykę, Jana Nowakowskiego czy Henryka Markiewicza.

Nie od rzeczy będzie także wspomnieć o **Towarzystwie Krzewienia Kultury Świeckiej**, któremu przewodzi dr **Michał Fidelus**, dyrektor Centrum Doskonalenia Nauczycieli. TKKŚ jest organizacją niezwykle prężną, skupiającą ludzi z najrozmaitszych środowisk. Ostatnio otwarto tu **Klub Kultury Świeckiej Nauczyciela.** Zainaugurowano wykładem dr Michała Fidelusa pt. „Kulturotwórcza rola klasy robotniczej". TKKŚ liczy 1343 członków. Jest to placówka mająca szczególnie ważną rolę do spełnienia, przede wszystkim w środowiskach wiejskich, oddalonych od dużych ośrodków kulturalnych.

Skoro jesteśmy przy sprawach, którym patronują pracownicy szkolnictwa (w samym TKKŚ jest ich 869) należy zwrócić uwagę na powszechnie znany, lecz często zapominany fakt, że to nauczyciele są z reguły inspiratorami i organizatorami życia kulturalnego w środowiskach, w których żyją i działają: wielka ilość chórów (prawie w każdej szkole wiejskiej), zespołów artystycznych, teatrzyków poezji, teatrzyków lalek. Z tej wielkiej masy najbardziej ambitne wybijają się na czoło, zaczynają zdobywać rozgłos najpierw w gminie, potem w województwie, w końcu osiągają taki poziom, że są zapraszani na zagraniczne festiwale (choćby dziewczęcy zespół **„Przygoda"** z I LO w Piotrkowie, czy zespół wokalny **„Biedroneczki"** z Tuszyna).

Do tych znanych i uznanych powszechnie zespołów zaczynają dochodzić inne, równie ambitne, o poziomach dużo wyższych od przeciętnej. Należą tu zespoły z **Koluszek, Tomaszowa, Sulejowa, Mierzyna i Opoczna.** Sulejowski zespół składa się w większości z młodzieży dojeżdżającej do LO nieraz z bardzo odległych miejscowości, a mimo to poziom prezentowany na przeglądach rokuje temu zespołowi duże sukcesy. Z danych statystycznych wynika, że 25 proc. młodzieży szkolnej jest objęte pracą artystyczną. Nie chodzi oczywiście od razu o wielkie kariery ani zagraniczne sukcesy. Ta powszechność wynika z przyjętego przez władze wojewódzkie programu rozwoju kultury, wynika z samego modelu kultury twórczej.

Aktywizuje i rozszerza swoją działalność **Biuro Wystaw Artystycznych.** Początkowo eksponowało ono prace plastyków miejscowych, obecnie zaprasza się autorów z Łodzi i Kielc.

Masowym kształceniem i kształtowaniem dobrych nawyków zajmują się liczne biblioteki, których województwo posiada 174, oraz 727 punktów bibliotecznych i 48 bibliotek związkowych. Jest to dużo i zarazem niewiele, jeśli się uwzględni, że w większości baza lokalowa tych bibliotek pozostawia wiele do życzenia. W obecnym, zurbanizowanym i spolitechnizowanym społeczeństwie biblioteka przestała być wypożyczalnią książek, coraz częściej jest ona czytelnią, ośrodkiem pracy z młodzieżą, miejscem spotkań autorskich, prelekcji, wystaw okolicznościowych czy koncertów.

Foto: Janusz Mendychowski

Niepokój budzi także baza lokalowa placówek kulturalno-wychowawczych, których jest w sumie 387. Należą tu domy kultury (zakładowe, międzyzakładowe, miejskie), kluby **„Ruch** i **„Rolnik"**, spółdzielcze ośrodki kultury, świetlice zakładowe, spółdzielcze, świetlice OSP, gminne ośrodki kultury. Dosyć paradoksalnie przedstawia się sprawa samego Piotrkowa: istniejący Wojewódzki Dom Kultury nie może spełniać swojej wiodącej funkcji ze względu na pilny remont kapitalny i niezbędne zabiegi adaptacyjne. Pod tym względem w lepszej sytuacji jest **Opoczno, Radomsko, Wola Krzysztoporska, Moszczenica** czy **Niechcice.** Natomiast we wsiach jedyną placówką mogącą prowadzić działalność kulturalno-wychowawczą pozostają nadal kluby. W większości są to jednak punkty sprzedaży detalicznej, usytuowane w pomieszczeniach jedno- lub w najlepszym wypadku dwuizbowych. Także wyposażenie w sprzęt audiowizualny jest niewystarczające (z reguły jest tam albo telewizor, albo adapter). Dlatego słusznie Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego zamierza w najbliższym czasie podjąć odpowiednie działanie, aby właśnie kluby skupiały inteligencję, której na wsi jest coraz więcej: inżynierów rolników, nauczycieli, lekarzy.

Osobny rozdział stanowią **muzea** i **zabytki.** Muzea są w zasadzie wielodziałowe. Służą nie tylko pogłębianiu wiedzy historycznej lecz ukazują szeroko pojętą problematykę współczesną. Ogółem w województwie jest 6 placówek muzealnych, zlokalizowanych w obiektach zabytkowych.

Obok wyżej wymienionych placówek działa w województwie 47 kin, a liczba miejsc przypadająca na 1.000 mieszkańców jest daleko niższa niż średnia krajowa i wynosi zaledwie 15,2. W wielu kinach ciągle jeszcze się wyświetla filmy na taśmie 16 mm.

Województwo piotrkowskie posiada zaledwie trzy **szkoły muzyczne** I stopnia: w **Tomaszowie, Radomsku i Piotrkowie.** I tu nie jest najlepiej jeśli chodzi o lokale: brak odpowiednich auli uniemożliwia urządzanie przeglądów dorobku uczniów tych szkół.

LUDZIE

Z wielką troską mówi się z województwem piotrkowskim o kadrze działającej w placówkach kulturalnych. Odczuwa się brak pracowników z wyższym wykształceniem specjalistycznym, nie ma odpowiednich ludzi do obsadzenia w bibliotekach gminnych, gminnych ośrodkach kultury. Kiedy poprosiłem dyrektora **Bogusława Nowaka** by wymienił kilku wyróżniających się, rozłożył bezradnie ręce.

— Oni wszyscy są wspaniali! Bez nich nie wyobrażam sobie pracy ani swojej ani całego aparatu kulturalno-propagandowego. Część z nich działa tu od lat, prowadzą zespoły folklorystyczne na wsiach, piszą wiersze, dłubią w drewnie, organizują chóry.

Ot choćby **Jan Dekowski** z Opoczna, działacz społeczny, **Bolesław Wojewódzki** — pisarz, **Antoni Skrzydlewski** — kierownik wydziału kultury w Tomaszowie, **Janina Szczurska** — inwalida, działaczka PKPS w Opocznie, prowadząca interesującą kronikę miasta, **Teresa Szwedkowicz** — nauczycielka, zbierająca stroje ludowe, **Czesław Salski** — kierujący chórem nauczycielskim w Piotrkowie, **Irena Kudyba** — nauczycielka, kierowniczka słynnej „Przygody" dziewczęcego zespołu z LO im. B. Chrobrego w Piotrkowie, **Robert Listopadzki** — kierownik kabaretu przy przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego w Radomsku.

Nie, nie jest to zwyczajna wyliczanka, za każdym z tych nazwisk kryją się lata pracy, poświęceń, upartego samozaparcia, często walki z otoczeniem, z wielowiekowymi przesądami i uprzedzeniami.

W Lubochni działa słynny naczelnik straży pożarnej **Franciszek Grad**, który tak pięknie zaprezentował się niedawno w telewizyjnym programie „Progi i bariery", który niejedną trudność musiał przezwyciężyć. Albo zespoły z Rzeczycy, Moszczenicy, Poświętnego, Paradyżu, Wolborza.

W Tomaszowie Mazowieckim działa **Estrada Robotnicza**, prezentująca programy polityczne, zaangażowane, odbywają się corocznie konkursy dziecięce „Tomaszowska Wiosna". W Piotrkowie — **Forum Teatrów Publicystycznych**, konkurs literacki **„O Rubinową Hortensję"**, coroczna **„Cepeliada"**, Robotnicze Dni Kultury. W Bełchatowie — jarmark hobbystów, przeglądy orkiestr dętych, przeglądy kabaretów, plenery plastyczne. W Radomsku — **Międzynarodowy Turniej Tańca Towarzyskiego** (z udziałem Węgier, NRD, Czechosłowacji). Chodzi bowiem o to, aby z każdym z tych ośrodków była związana jakaś stała, cykliczna impreza.

Wszakże o jednym z nurtów kultury chciałbym powiedzieć parę słów oddzielnie. Wspomniałem na początku o istnieniu poważnego grona ludzi piszących — poetów, prozaików. Dla mnie osobiście temat ten jest najbliższy, bowiem od lat uprawiam ten niezwykle trudny, a nie zawsze przynoszący zaszczyty czy satysfakcję, zawód. Pisarstwo — to ogromna odpowiedzialność zarówno przed czytelnikiem jak i przed sobą samym. W województwie piotrkowskim doliczono się 16 osób zajmujących się pisaniem, szukających opowiedzenia widzianego i odczuwanego przez siebie świata. Niektórzy należą do **Związku Literatów Polskich**, niektórzy są po debiutach książkowych, inni — czekają na swoją pierwszą książkę. Z **Rafałem Orlewskim** przyjaźnię się od lat, niegdyś współtworzyliśmy grupę literacką **„Grabia 59"** potem należeliśmy do działającej w Łodzi **„Karawany"**. Teraz Rafał stał się piotrkowianinem z wyboru, pracuje w KW PZPR, pisze jak dawniej wiersze, „rozkręca" życie literackie. Wespół z **Adamem Puto**, również tęgim poetą, usiłują wszczepić w świadomość współobywateli istnienie tego ważnego nurtu kultury, jakim jest słowo drukowane.

W zamierzchłej historii istniał gdzieś tu **„Trybunalik"**, ale dziś mało kto o nim pamięta. Więc trzeba wszystko zaczynać od początku, od publikacji wierszy w **„Gazecie Ziemi Piotrkowskiej"**, od prezentacji na kiermaszu książek **Bolesława Wojewódzkiego** (od lat zamieszkującego w Opocznie, ludowego, autentycznego poety, który poświęcił długie życie ocalając od zapomnienia wartości duchowe i materialne, ocalając piękne stroje opoczyńskie, gwarę, wyroby ludowe). Zawsze byłem zdania, że nie przynależność do Związku Literatów Polskich czyni z człowieka pisarza. Legitymacja związkowa jest zaledwie potwierdzeniem, oficjalną rejestracją, kolejnym numerem w spisie.

Powoli, z trudem, ale się rozkręca, zatacza coraz szersze kręgi działalność moich kolegów — pisarzy z Piotrkowa, Tomaszowa, Bełchatowa. Bardzo liczą na młodzież zrzeszoną w **Korespondencyjnym Klubie Młodych Pisarzy**, któremu przewodzi **Wiesław Boroń.** Rada Wojewódzka Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej zapewniła wszelką pomoc i opiekę, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego wespół z kierownictwem Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KW PZPR będą w najbliższej przyszłości rozmawiać z łódzką oficyną wydawniczą, aby na książki pisarzy zamieszkujących ziemię piotrkowską nie trzeba było długo czekać. Są to inicjatywy sięgające w przyszłość, być może znów nie tak odległą, pomimo wydłużonych cykli wydawniczych. Tymczasem trwają poszukiwania, urządza się konkursy dla szkół, penetruje wiejskie regiony, rejestruje się wszystko, co może rokować nadzieje, co niesie w sobie złote ziarno talentu. Nie zdziwiłbym się więc, gdyby w którymś z kolejnych **Ogólnopolskich Festiwali Poetyckich**, jakie co roku odbywają się w Łodzi, laureatem został młody poeta z Piotrkowa. Myślę, że działalność prowadzona przez pisarzy zamieszkujących województwo piotrkowskie, wywiedzie z zaściankowego onieśmielenia niejednego zdolnego poetę, niejednego rzetelnego prozaika.

Kiedy rozmawiałem z działaczami Wydziału Pracy Ideowo-Wychowawczej KW PZPR a potem z kierownictwem Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w ich głosach przebijała głęboka troska o losy kultury, o ludzi, którym powierzono odpowiedzialne zadanie jej rozpropagowania i zaszczepienia na jałowych dotąd gruntach. Bowiem stara to prawda, że o wynikach decydują nie piękne deklaracje czy programy, lecz konkretni ludzie. Stąd troska władz o wykształcenie, o ideowość i zaangażowanie społeczno-polityczne kadry pracowniczej ogromnego aparatu nazywanego kulturalno-propagandowym. Jedynie współdziałanie twórców dóbr kulturalnych z propagatorami kultury, z tymi, którzy są łącznikami pomiędzy sztuką a jej odbiorcą — pozwoli na zrealizowanie zakreślonych zamierzeń. Oczywiście, nie jest to program na dziś, gdyż kultury, podobnie jak i świadomości, nie można ukształtować w czasie odmierzanym planami. Piotrkowskie zamierzenia zaowocują może dopiero za parę lat, lecz już teraz liczy się ferment, niepokój twórczy i zapał, z jakimi przystąpiono do realizacji ogromnego dzieła, pierwszego w dziejach tej ziemi.

EUGENIUSZ IWANICKI

FILM

JAK KOCHAJĄ MŁODZI MUZYCY

Minęło już kilka lat od czasu, gdy reżyser filmu „Love story" zaimponował odwagą podjęcia tematu miłości w stylu wielce sentymentalnym. Odwaga ta wynikała z faktu, że kinematograficzne obyczaje naszych czasów melodramat uczyniły rzeczą bardzo wstydliwą, niegodną prawdziwego twórcy i po prostu niemodną. „Love story" mit ten zburzyła, okazało się, że publiczność, tak jak w dawnych dobrych latach kina, bardzo lubi melodramaty. Duże kinematografie szybko reagują na popyt rynku, na ekrany świata popłynęła zatem fala romantyczno-sentymentalnych filmów. Polska, nie tylko kinematograficzna, produkcja zawsze ze znacznym opóźnieniem reaguje na wymogi mody, toteż nie należy się dziwić, że dopiero dziś mamy na ekranie naszą wersję „love story", czyli film Jana Batorego „Con amore". Spóźnienie to uwarunkowane było zapewne również brakiem scenariusza i przyznać trzeba, że w chwili, gdy się pojawił, kupiono go nieomal na pniu. Jeszcze „Literatura", która specjalizuje się w publikowaniu z różnych powodów sensacyjnych tekstów literackich (przypomnijmy choćby „Ostatnie tango w Paryżu", „Kurtynę" — ostatnią sprawę Poirota, rzecz o Marylin Monroe), drukowała powieść Krystyny Berwińskiej „Con amore", a już pokazały się informacje o tym, iż Jan Batory rozpoczyna jej filmową realizację.

Sądzić należy, że film „Con amore" będzie się podobać tak jak podobać się mogą melodramaty, choć, niestety, jeszcze raz trzeba skonstatować to, o czym miałam okazję pisać w ubiegłym tygodniu. Filmowcy nasi nie są zbyt sprawni w uprawianiu tzw. kina rozrywki, czyli filmów klasy B. Brák tych umiejętności daje o sobie znać również w filmie „Con amore". Po prostu autorzy tego filmu jakby nie zauważyli faktu, że melodramat jako gatunek też uległ swoistej ewolucji, i nie znosi zbyt sztucznej konstrukcji fabularnej, że prawdopodobieństwo zdarzeń, sytuacji i reakcji psychologicznych jest dziś w nim większe niż kiedyś, że przeniknęła doń określona obyczajowość, że bohaterowie melodramatu, przeżywając swe uczucia na górnych rejestrach nastrojów, mówią jednak językiem naturalnym, potocznym i zachowują się tak po prostu jak w życiu. Cechy te podkreślano m. in. właśnie przy okazji „Love story" czy filmu „Jeremy".

Przypomnienie tych dwóch tytułów w zestawieniu z „Con amore" pozwala zwrócić uwagę na rzecz ciekawą: bohaterowie wszystkich tych filmów związani są z muzyką. Widać uważa się, że jedynie ta sztuka sprzyja dziś kultywowaniu wrażliwości uczuciowej, co z kolei każe ze smutkiem myśleć o rodzajach miłości w kraju naszym preferowanych, skoro mówi się o nas, żeśmy tak mało muzykalni.

Gdy jesteśmy przy muzyce i miłości, a z okazji „Con amore" przy melodramacie, nasuwa się jeszcze jedna refleksja. Jesteśmy strasznie poważni, jeżeli boimy się opowieści miłosnych w stanie czystym, prościutkim, banalnym nawet. Polska „love story" musiała znaleźć podparcie w czymś poważniejszym, godniejszym uwagi niż sama miłość. Trzeba było ją nobilitować nie tylko wyborem środowiska, ale i rodzajem muzyki. Miłość polska rozkwitać może jedynie w rytmie muzyki pana Fryderyka Chopina. Staje się wówczas szlachetniejsza, godniejsza naszej uwagi — bardzo to po polsku, ale i zabawnie. Nie czynię z tego zarzutu, bo ukryć się nie da, że muzyka ta ładnie, choć niestety w kontekście obrazowym dość banalnie z ekranu pobrzmiewa.

Słuchając Chopina oglądamy dzieje miłości młodych pianistów i z pełną świadomością przyjmujemy reguły melodramatu, które tłumaczą wiele ułatwień. Jedno tylko irytuje, dlaczego scenarzystka i reżyser „Con amore" nie dali żadnej szansy jednemu z rywali i programowo nakazali być mu czarnym charakterem. Toż biedny Grzegorz nie ma żadnej możliwości opanowania swego egoizmu nie dlatego, że nie potrafi, lecz dlatego, że tak chcieli autorzy filmu. A tak, mówiąc na marginesie, to Krystian Zimerman winien poczuć się zniesławiony, gdyż z filmu „Con amore" wynika, że w IX Konkursie Chopinowskim (taki plakat firmuje występy w filmie przedstawione), zwyciężać mógł tylko ten, kto był nieczułym, podłym egoistą. Tak to niefortunna próba sprzężenia fikcji z rzeczywistością splatała, niezamierzonego zapewne przez autorów, figla.

Pora jednak zaprzestać tych drobnych kąśliwości i powiedzieć, że „Con amore" ogląda się potoczyście i z przyjemnością patrzy na śliczną, choć aktorsko dość nieporadną Małgorzatę Snopkiewicz — studentkę polonistyki, na obu filmowych muzyków — rywali w wykonaniu studentów szkół aktorskich: Wojciecha Wysockiego i Mirosława Konarowskiego, a nade wszystko na Joannę Szczepkowską w roli niekochanej Zosi, która stworzyła postać tak bogatą, że każe myśleć o tym, iż rośnie nam wspaniała aktorka.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

TO CO, TELEWIZYJNE

Gdybym miał odpowiedzieć w jakiejś wyimaginowanej ankiecie na pytanie, który z obszarów telewizyjnej działalności wydaje mi się najciekawszy i najcenniejszy, to bez wahania wśród teatru, filmu, informacji, rozrywki itp. wybrałbym publicystykę. I to nie dlatego, że programy publicystyczne naszej telewizji reprezentowane ex definitione przez Naczelną Redakcję Publicystyki i Naczelną Redakcję Publicystyki Kulturalnej są bezkonkurencyjne, najbardziej atrakcyjne i gromadzą najwięcej widzów, bo tak nie jest. Gdyby mierzyć jakość popularnością, to wówczas na czoło — rzecz znamienna — wysunie się film. Aktywność dwóch wymienionych redakcji obserwuję z uwagą, ponieważ tam po prostu robi się telewizję. Film czy teatr to dziedziny, które egzystują poza telewizją, tutaj natomiast są zaledwie namiastką oryginału, a ich wchłanianie przez mały ekran odbywa się mniej lub bardziej mechanicznie. W gruncie rzeczy reguły tzw. filmu telewizyjnego są niezwykle proste i w jego estetyce — nie licząc rzadkich wyjątków jak np. „Personel" Kieślowskiego — nic nie posuwa się naprzód. Podobnie ma się rzecz z telewizyjnym teatrem, gdzie również — oprócz eksperymentów Królikiewicza — panuje estetyczny marazm, który polega na jałowym kopiowaniu konwencji inscenizacyjnych teatru żywego planu przy pomocy filmowego systemu planów i ustawień kamery. Z kolei rozrywka telewizyjna od lat, pomijając próby Olgi Lipińskiej (ostatnio „Właśnie leci kabarecik") tkwi w żałosnej tandecie, którą trudno nazwać po imieniu.

W tej sytuacji na placu boju pozostaje telewizyjna publicystyka jak domena telewizyjnej twórczości w całym tego przymiotnika, na dobrą sprawę niejasnym, znaczeniu. Tutaj należy pytać o pryncypia telewizyjnej specyfiki i szukać na to pytanie odpowiedzi. W publicystyce telewizyjnej wzory zewnętrzne załatwiają bardzo niewiele. Słyszy się często porównanie struktury telewizyjnej informacji i publicystyki do prasy, mówi się, że telewizja to nic innego jak audiowizualna gazeta. W tym sformułowaniu jest wiele słuszności, ale też jego apodyktyczność raczej zaciemnia obraz telewizji aniżeli pomaga go zrozumieć. W telewizji istnieje wiele podpatrzonych w prasie czy w radiu konwencji gatunkowych: wywiad, dyskusja, komentarz, felieton itp. Jednakże trudno nie zauważyć, iż konwencje te przeniesione w ramy telewizyjnego medium zmieniają swoją jakość. Wywiad w telewizji dysponuje bez porównania szerszą gamą walorów osobowościowych aniżeli w prasie, komentarz musi się liczyć z obecnością obrazu i ekonomią czasu, inaczej też kształtuje się retoryka audiowizualnego felietonu.

Telewizja pojmowana globalnie jest gatunkową hybrydą, która podpatrując rozmaite konwencje publicystyczne powoli, nieomal niedostrzegalnie — gdyż jest to proces wieloletni — syntetyzuje i stapia je w nową, swoistą jakość. Jednakże tv żyje nie tylko z podpatrywania, ale próbuje również szukać własnych, oryginalnych, wynikających wyłącznie z jej możliwości techniczno-warsztatowych sposobów przekazu. Myślę tu o takich programach jak „Progi i bariery", „Świadkowie", „Bank 440", „Sam na sam", różnorodne teleturnieje czy telegry (jak np. ostatni, nośny pomysł z tego gatunku „Licytacja").

Wydaje się, że w tych różnych tematycznie inicjatywach można wyśledzić elementy wspólne, konstytuujące ich w najwyższym stopniu telewizyjną poetykę. Wymienione programy publicystyczne polegają przede wszystkim na możliwie najpełniejszym kontakcie z odbiorcami. Kontakt ten przejawia się albo w bezpośrednim udziale w programie „naszych telewidzów" na tę okazję przeniesionych przed kamery albo też na łączności telefonicznej ze studiem. W ten sposób tv niejako wkracza bezpośrednio w życie, tworzy niepowtarzalny gdzie indziej rodzaj natychmiastowej więzi z odbiorcą, która opiera się na szczególnych a rozbudzonych w epoce mass-mediów i „samotnego tłumu" motywacjach psychologicznych.

Druga cecha to poetyka show'u czyli widowiska na maksymalną skalę, operującego gigantyczną inscenizacją, tłumami widzów, ekspertów, jurorów itd., co zdaje się zaprzeczać rzekomo kameralnym, intymnym właściwościom telewizji. Tak np. audycja „Sam na sam", która z założenia z tytułu winna polegać na takim właśnie intymnym kontakcie z odbiorcą dzieje się wśród zgiełku telefonów, bogactwa efektów często niezamierzonych (np. jąkający się prezenter), jednym słowem — w atmosferze cyrku.

Wreszcie trzecim elementem, który organizuje nowe formy stricte telewizyjne jest efekt dramatyzmu. Reguły tego dramatyzmu są bardzo proste, by nie rzec prymitywne i sprowadzają się do sportowego pytania: kto wygra? Jedynie niektóre programy usiłują oprzeć poznawcze treści na bardziej wyrafinowanych dramatycznie podstawach. Taki jest program „Świadkowie", który osiąga niekiedy wysoki stopień dramatyzmu psychologicznego, co nie obywa się wszakże bez kosztów moralnych.

To, co telewizyjne sprowadza się zatem do dość prostego schematu, wewnątrz którego obraca się inwencja naszych publicystycznych teleshowmanów. Oczywiście może ktoś bywały za granicą zauważyć, że niektóre z tych programów nie są ich pomysłu, że zaadaptowali je z obcych telewizji. To nie jest istotne. Ważna jest ich swoista forma telewizyjna, która powoduje, że na naszych oczach tworzy się coś nowego w kulturze.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

PLAKAT

Autor: J. Sierociński

ANDRZEJ KAROLCZAK
PAWEŁ UDOROWIECKI

CZEGO BRAK ABY BYŁO DOBRZE

1.

We współczesnej kulturze masowej plakat jest faktem tak zakorzenionym w świadomości społecznej jak film, tv, płyta długogrająca. Jest podstawowym narzędziem masowej propagandy politycznej, reklamy i informacji, towarzyszy życiu mieszkańców wielkich miast na każdym kroku jak szum silników samochodowych, jak

Autor: J. Sowiński

neon, jak „zelektryfikowana" muzyka pop. Jest wreszcie dziełem sztuki, o czym nie wszyscy zdają się być przekonani...

2.

Od lat kilku propaganda polityczna i ekonomiczna używa nowoczesnego języka dostosowanego do mentalności współczesnego Polaka — człowieka, który swą pracą buduje rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne — społeczeństwo ostatniej ćwierci tego wieku i początków przyszłego. Stawia to przed autorem i wydawcą plakatu nowe, trudne zadania, zmusza do poszukiwania nowych środków wyrazu a jednocześnie rozszerza jak nigdy dotąd ramy swobody twórczej. Rezultaty tej sytuacji są już znane i widoczne w kraju, w miastach, na ulicach i placach, w zakładach pracy...

3.

Rocznie ukazuje się w Łodzi około stu tytułów wykonywanych przez łódzkich twórców, wydanych przez łódzkich wydawców, w łódzkich drukarniach. Nie sposób autorytatywnie ocenić czy to dużo, na pewno wiadomo natomiast, że to śmiesznie mało, jeśli zsumuje się nakłady, wynoszące od... 500 egz. do tysiąca, tysiąca pięciuset. Wyjątek stanowi produkcja łódzkiego oddziału **Krajowej Agencji Wydawniczej** osiągająca nakłady z reguły przekraczające dwa tysiące egzemplarzy, co dla ludzi znających problematykę wydawniczą też nie jest liczbą imponującą.

Co tak ogranicza nakłady plakatu? Odpowiedź jest zaskakująco prosta i oczywista: **w mieście istnieje tylko około sześćdziesięciu punktów, w których można plakat eksponować!**

W tej sytuacji nawet anegdotyczna już sprawa dwustu egzemplarzy pewnego plakatu teatralnego zyskuje racjonalne uzasadnienie ... Nie będziemy swej ironii posuwać tak daleko aby stwierdzić, że dwieście w stosunku do sześćdziesięciu to i tak luksus.

Można jeszcze spojrzeć na sprawę z drugiej strony i zapytać, jak się ma do podanych liczb poziom artystyczny, propagandowy i wreszcie jakość poligraficzna łódzkiego plakatu. Cenzurek wystawiać nie sposób, ścisłą i jednoznaczną ocenę pozostawmy profesjonalnym krytykom i opinii odbiorców, ale niedawno była okazja do dość szerokiego spojrzenia na możliwości twórcze łódzkiego środowiska w dziedzinie plakatu. Tegoroczna (kwietniowa) wystawa trzynastu łódzkich plakacistów upoważnia do wysokiej oceny — na około sto eksponowanych prac zdecydowana większość, bo blisko osiemdziesiąt prezentowała poziom zdecydowanie wysoki.

Są zatem dobrzy plakaciści, jest baza poligraficzna zdolna, mimo różnorodnych kłopotów i tzw. „wąskich gardeł", dawać produkcję na świetnym poziomie edytorskim — co w produkcji plakatu szczególnie istotne — i robić to w rekordowym tempie. Tu szczególne ukłony należą się w tym miejscu **Graficznej Pracowni Doświadczanej** i **Prasowym Zakładom Graficznym.** Jest wreszcie wyspecjalizowany wydawca — wspomniany łódzki oddział **Krajowej Agencji Wydawniczej** — oficyna, która monopolizuje w Łodzi i województwach sąsiednich wydawanie plakatów politycznych i społecznych. Jest korzystny klimat, tworzony przez Wydział Propagandy i Kultury KŁ PZPR.

A że miasto jest chłonne, że potrzeby przewyższają często możliwości produkcyjne świadczyć mogą tegoroczne obchody Pierwszego Maja. Powstały z inicjatywy Komitetu Łódzkiego PZPR scenariusz wystroju miasta i szczegółowe projekty plastyczne zakładały ekspozycję i produkcję plakatu o łącznym nakładzie 16 tys. egz.

Autorzy: P. Brandyk, P. Bojanowski

i taką ilość wydał KAW. Łączną ilość plakatów wykorzystanych w mieście ocenia się na 20 tys. i, trudno w to uwierzyć, dystrybutorowi w ostatnich dwu dniach kwietnia zabrakło materiału do rozpowszechnienia!

W styczniu odbył się konkurs na wystrój propagandowo-wizualny łódzkich zakładów przemysłowych. Śmiało można stwierdzić że konkurs wykazał jak chłonnym „rynkiem" odbioru plakatu jest zakład pracy i jak — równocześnie — wzrasta kultura ekspozycji, umiejętność wykorzystania plakatu do celów propagandowych i agitacyjnych w zakładzie.

4.

Czego zatem brak, aby sytuację można uznać za zadowalającą?

Brak ekspansywnego działania w dziedzinie ekspozycji plakatu na co dzień, w mieście, na ulicy... Realizowany z dużym rozmachem program modernizacji Łodzi stwarza tu szansę jedyną i niepowtarzalną — jeszcze chyba nie jest za późno, aby projekty urbanistyczne przejrzeć i „wpisać" w nie program działania w dziedzinie propagandy wizualnej, nie ograniczającej się przecież tylko do plakatu. Od dwóch lat istnieje wyspecjalizowana placówka — **Redakcja Politycznej Propagandy Wizualnej KAW,** którą do tej działalności można i trzeba zaangażować. A jakie pole działania ma w tej sprawie urząd Naczelnego Plastyka Województwa!

5.

Jako się rzekło autorzy, wydawcy i drukarnie są do ekspansji plakatu na gruncie łódzkim przygotowani. Bo i tradycje już są, bo i łódzka **PWSSP** rozszerzyła program Wydziału Grafiki i tylko patrzeć eksplozji młodych talentów, bo i wydawcy i drukarze się specjalizują.

Otóż i „po tej stronie" też nie wszystko jest aż tak wspaniałe. Można zarzucić wielu łódzkim plakatom, zwłaszcza teatralnym i reklamowym, sięganie do starych, dość zwietrzałych i nie najlepszej próby konwencji artystycznych, obawę przed nowoczesnym językiem plastycznym. Należy przypomnieć, że za rzadko jeszcze twórcy plakatu sięgają do fotografii, zwłaszcza barwnej. A jakże często plakatowi wytknąć można nie dość przemyślane przygotowanie merytoryczne — brak chwytliwego, dosadnego hasła inspirującego grafika i dającego pełną adekwatność tekstu i wyrazu plastycznego, dzięki czemu działanie propagandowe i estetyczne plakatu osiąga efekt maksymalny. Są to walory, których przecenić nie sposób wobec rosnącego poziomu odbiorcy, już nie tylko „szarego", ale konesera i kolekcjonera, bo i takiej nobilitacji doczekał się plakat.

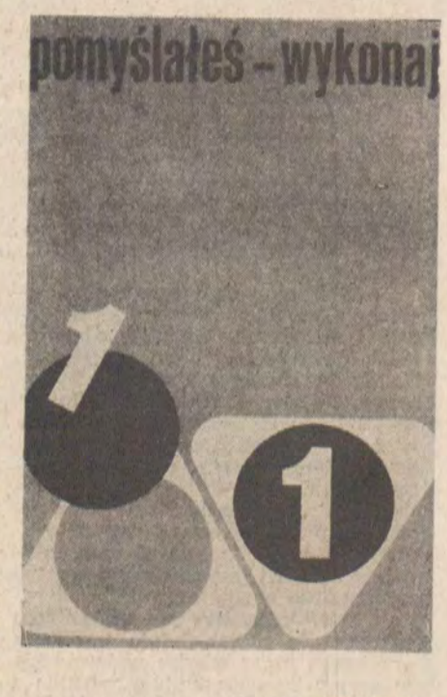

Autor: J. Zieliński

ODGŁOSY

XI OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL POEZJI
ŁÓDŹ, 4–5 CZERWIEC 1976 R.

DO UCZESTNIKÓW!

Witamy serdecznie uczestników XI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, poetów i krytyków licznie reprezentujących wszystkie środowiska literackie kraju. Z jednakową serdecznością witamy tych, którzy od początku towarzyszą naszej imprezie i tych, którzy przybywają po raz pierwszy, znanych twórców kultury i tych, którzy dopiero rozpoczynają swą wielką przygodę artystyczną.

XI Festiwal Poezji rozpoczyna nowy cykl spotkań poetyckich, które chcemy poświęcić postępowym tradycjom poezji polskiej i ich znaczeniu dla twórców współczesnych. Pragniemy, aby tegoroczne przesłanie festiwalu: romantyzm dzisiaj, nawiązujące do jednego z najbogatszych, najpłodniejszych i najbardziej rewolucyjnych prądów w naszej poezji, a zarazem ruchów umysłowych — doprowadziło do konfrontacji postaw artystycznych, uświadomiło nam potrzebę jeszcze ściślejszego związku ze sprawami kraju i narodu.

Chcemy wam pokazać starą i nową Łódź, awansujący nie tylko administracyjnie Piotrków, początki wielkiej budowy Zagłębia Bełchatowskiego, opoczyński folklor. Zapraszamy Was na spotkania z miłośnikami poezji w bibliotekach, domach kultury i klubach, aby łódzcy czytelnicy mogli Was lepiej poznać, gdyż niezależnie od miejsca zamieszkania współtworzycie jedną polską literaturę. Wyrażamy nadzieję, że Wasze wystąpienia na festiwalowym forum wzbogacą nasze rozumienie sztuki poetyckiej i jej miejsca we współczesności.

Serdecznie witamy!

JERZY WAWRZAK
prezes Łódzkiego Oddziału ZLP

OPINIE

CZY LUBICIE POEZJĘ?

W tym roku – z okazji XI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji – postępujemy odmiennie niż w latach poprzednich i zamiast wierszy poetów, publikujemy głosy tych, dla których tworzą – jej Czytelników.

Wszystkim rozmówcom przedstawiciel „Odgłosów" – **Mirosław Kuźniak**, zaczynając rozmowę, zadał jedno i to samo pytanie:

– Czy pan (pani) lubi poezję?

A oto, co odpowiadali mu Czytelnicy:

HENRYK CZYŻ – kompozytor i dyrygent

Przypomina mi to pytanie: czy lubi pani Brahmsa? No cóż, albo komuś Brahms jest nieodzownie potrzebny do życia, albo nie jest potrzebny. To samo z poezją, która jest zbyt ważką sprawą, żeby ją tylko lubić. Na pewno jest to siostra muzyki. Poezja to jedna ze sztuk, które czynią życie ludzkie bogatszym, piękniejszym. Wydaje mi się, że ci, którzy znaleźli drogę do poezji lub muzyki powinni pomóc tym, którzy chcą tę drogę odnaleźć. Może właśnie dlatego zdecydowałem się na zrealizowanie telewizyjnego cyklu „Nie taki diabeł straszny".

Wróćmy jednak do poezji. O moim zauroczeniu „Faustem" Goethego mówiłem wielokrotnie, może więc teraz kilka słów o moim stosunku do poezji współczesnej. We współczesnej polskiej poezji stosunkowo rzadko trafiam na autorów, których sam wewnętrznie akceptuję. Tych, którzy umieją mnie wzruszyć, choć zastrzegam, że w poezji szukam nie tylko wzruszenia. Wydaje mi się jednak, że podstawowym zadaniem poezji jest to „wewnętrzne targnięcie" człowiekiem. A więc z tych poetów, którzy poruszyli we mnie te ukryte struny wymienię jedynie dwa nazwiska. Mocno przeżyłem tomik wojennych wierszy Antoniego Słonimskiego, wydany w serii Biblioteki XXX-lecia oraz zbiór wierszy Anki Kowalskiej. To są zresztą moje ostatnie lektury. Poezja jest dla mnie źródłem inspiracji uczuciowej i intelektualnej.

Pyta pan, co sądzę o festiwalowym haśle: „romantyzm dzisiaj"? Niechaj moją odpowiedzią będzie przypomnienie, że w programach telewizyjnych z cyklu „Nie taki diabeł straszny" staram się propagować właśnie twórców romantycznych, takich jak Honneger, którego uważam za jednego z ostatnich wielkich romantyków. Najbliższy zaś program poświęcony będzie Karolowi Szymanowskiemu, który jest przecież jednym z największych polskich romantyków. W nich właśnie pociąga mnie niezwyczajna osobowość, inność i oryginalność.

ZBIGNIEW KUJAWA – I sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR w ZPB im. J. Marchlewskiego

W działalności partyjnej i społecznej słowo zawsze odgrywało dużą rolę. Ważny był sposób operowania słowem, umiejętność jasnego, precyzyjnego przekazywania myśli. Tę jasność i precyzję odnaleźć można w poezji. Dlatego też uważam, że poezja potrzebna jest w naszej pracy. Niejednokrotnie pomaga oderwania się od spraw, którymi żyjemy na co dzień. A to przecież nie zawsze jest możliwe.

Wydaje mi się, że zmienił się stosunek ludzi do współczesnej poezji. Pamiętam ten czas, kiedy działałem w ruchu młodzieżowym. Były to lata pięćdziesiąte. Wówczas traktowaliśmy poezję inaczej. Dla nas poezja Majakowskiego czy Dobrowolskiego była wykładnią pewnych racji. Wiele rzeczy wypowiadaliśmy ich słowami. Kiedy spotykam się z moimi towarzyszami z nam trafić do serc i umysłów ludzkich. Proszę zwrócić uwagę jak często łączymy poważne referaty z tak zwaną częścią artystyczną, w czasie której słuchamy właśnie poezji. Jeśli uroczystość jest dobrze przemyślana, dobrze przygotowana, wiersze stają się elementem podbudowującym, angażującym emocjonalnie ludzi.

Uważam, że w działalności partyjnej powinniśmy jeszcze śmielej sięgać do wiersza, aby pewne rzeczy lepiej i pełniej przedstawić. Zresztą dobrzy mówcy nigdy nie zapominają o tej starej zasadzie.

Jestem czytelnikiem wierszy, choć nie kupuję tomików poetyckich i nie śledzę rozwoju współczesnej poezji. Czytam jednak uważnie prasę kulturalną i literacką, nie omijając nigdy publikowanych tam wierszy. Współczesna poezja jest trudna, wymaga całkowitego

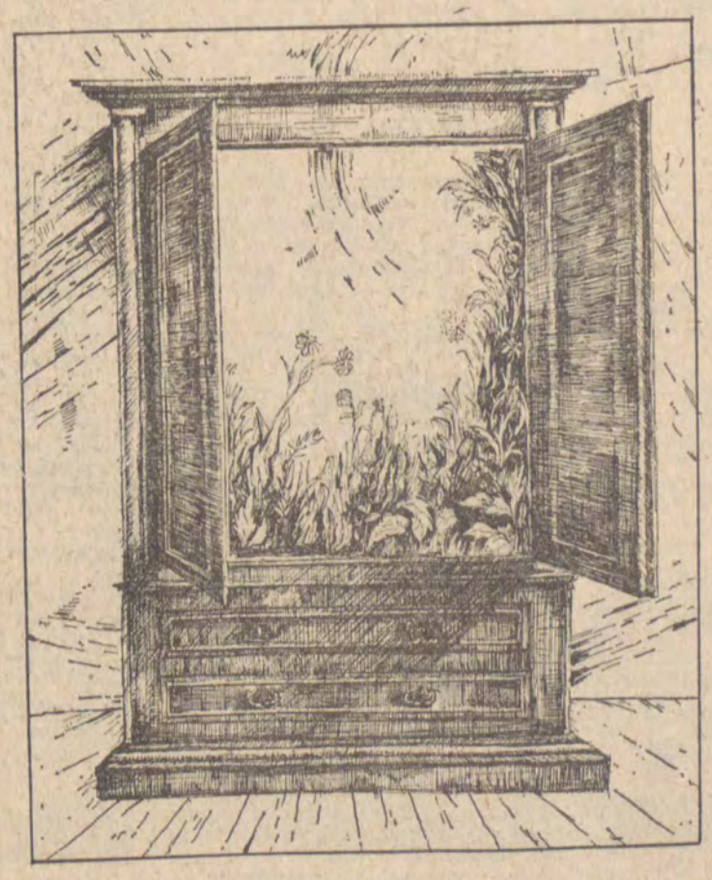

Rys. Janusz Szymański-Glanc

RYSZARD STANISŁAWSKI – dyrektor Muzeum Sztuki

Sądzę, że poezji nie można nie lubić, ponieważ jest ona częścią naszego życia. Przy czym mianem poezji określam nie tylko konkretne utwory poetyckie. Dla mnie poezją jest także stosunek człowieka do życia, jego uczestnictwo w tym realnym świecie i w tym, który tworzy w swojej imaginacji.

Sądzę jednakże, że pańskie pytanie dotyczy mojego stosunku do poezji w tym potocznym znaczeniu. Otóż, lubię poezję. Mam wielu ulubionych poetów, choć w moim życiu różnie kształtowały się te sympatie. Był okres, kiedy bardzo mocno przeżywałem poezję romantyczną, głównie twórczość polskich klasyków, Mickiewicza i Słowackiego. Potem dołączali do nich inni wielcy klasycy, przede wszystkim rosyjscy, a więc Puszkin i Lermontow. Nie wspominam tu o poezji francuskiej, która jest mi szczególnie bliska, jako że studiowałem we Francji. Tam też zapoznałem się i po-

Dalszy ciąg na str. II

STANISŁAW CZERNIK

NAJPROŚCIEJ

Z Kochanowskiego mam badyl bylicy –
Niechże mnie chroni przed chorobą czasu.
Od Mickiewicza wziąłem tęczy arkę
Na moją wiejską w mieście gospodarkę.
Ze Słowackiego zaś girlanda koni
Złoconych kopyt rozbrykiem mi dzwoni –
Abym nie zasnął brukiem na ugorze,
Gdy wiatr od ludu nie budzi lecz muska
Z Norwida – gminność w najpierwszym wygłosie.
A z siebie – tylko siebie mam zaledwie.
Jeśli wystarczy – przyjmijcie najprościej.

KRYTYKA

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

OBLICZE ŁODZI POETYCKIEJ

Zacznijmy pytaniem znanym powszechnie ze szkolnej lektury, wierszy Władysława Broniewskiego: **„...znasz Ty Łodzi oblicze?"** Oczywiście nie tej z jego wiersza, ale tej poetyckiej, dzisiejszej. Śmiem przypuszczać iż ankieta oparta na pytaniu powyższym ujawniłaby tyle stopni znajomości przedmiotu, ile byłoby po prostu odpowiedzi. — Koń, jaki jest, każdy widzi — napisał pierwszy polski encyklopedysta, autor „Nowych Aten", Benedykt Chmielowski i żartobliwie dziś brzmiące to stwierdzenie przypomina się zwykle w sytuacji, gdy coś oczywistego, konkretnego, jednostkowego kontrastuje z materią nie do końca określoną, skomplikowaną, w najwyższej mierze subiektywną. Poezja, jaka jest, nie każdy bowiem widzi — a jeśli już jej się przygląda, to istnieje przecież tyle odczuć poezji, tyle odmiennych sposobów jej pojmowania, ilu jest samych poetów i czytelników.

W wierszu pt.: **„Jak rozumiem poezję"** znany łódzki poeta **Jerzy Waleńczyk** pisze:

Poezja jest jak kawałek suchego chleba,
Jak dwie żarówki (...)
Poezja jest jak ćwierć litra zsiadłego mleka,
I jak kilogram kartofli w papierowej torebce
Stojącej, wykalkulowanej sub specie miesiąca (...)

I kocha, i skrzypi jak drzwi starej szafy,
I ukrywa się nagle jak parasolki rączka,
I jest jak pięciominutówka, fotografia do dowodu...

Zacytowałem skromny zaledwie fragment wiersza rozbudowanego, prawie poematu, jako próbkę poetyckiej samoświadomości (dając jednocześnie świadectwo autotematycznej tendencji wśród łódzkich twórców). A przecież do wszystkich zestawionych w tym utworze pojęć można by z powodzeniem dopisać nie kończącą się listę dalszych znaczeń. Nie mogąc tedy oprzeć się pokusie, by w okazjonalnym artykule nie zabrakło akcentów efektowniejszych od zwykłej rejestracji, przytoczyć chcę zacytowane kiedyś przez Bogdana Ostromęckiego powiedzenie znanego duńskiego filozofa Sörena Kirkegaarda:

„Człowiek to synteza skończoności i nieskończoności, czasowości i wieczności, konieczności i wolności".

Zastąpmy w sentencji tej wyraz człowiek słowem poezja i otrzymamy definicję poezji filozoficznie głęboką, zarazem zaś utylitarnie elastyczną.

Czas jednak od uwag i wątpliwości natury ogólnej powrócić na łódzki teren. Łódź literacka, a więc i poetycka, poczęła powstawać wraz z narodzinami Łodzi przemysłowej. Za pierwszego poetę naszego miasta uważa się powszechnie **Wiktora**

Dalszy ciąg na str. II

KRYTYKA

Dalszy ciąg ze str. I

Dłużniewskiego, który przybył tu akurat w połowie ubiegłego stulecia. Po nim dał się poznać **Artur Gliszczyński**. I dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym pojawiła się cała plejada poetów — **Julian Tuwim, Witold Wandurski, Marian Piechal, Grzegorz Timofiejew, Kazimierz Sowiński** (trzej ostatni utworzyli pierwszą łódzką grupę poetycką pod nazwą „Meteor"), **Mieczysław Braun, Rafał Len** i wielu innych. Powojenny rozrost i awans środowiska literackiego oraz późniejsze ewolucje i fluktuacje — to sprawy dobrze znane czytającej publiczności. W tych zmiennych kolejach losu nie brakowało nigdy poetyckich talentów i rozmaitych dążeń do grupowego wypowiadania artystycznego „credo", od głośnej swego czasu publikacji **„Różnie idąc"**, poprzez **Klub Łódzkich Aktywistów Poezji, Prowincję 58, grupę „Centrum"** czy propozycje **„Nowego Romantyzmu"** (nie licząc najprzeróżniejszych jednodniówek).

A jak wygląda Łódź poetycka aktualnie? Jakie dominują tendencje? Ile osób, poza oficjalnie nobilitowanymi członkami Związku Literatów Polskich, odnosi poetyckie sukcesy? W tomie **„Inspiracje"**, wchodzącym w skład cyklu **„Rzeczy Poetyckiej"**, pisał współinicjator tego popularnego przedsięwzięcia wydawniczego **Stanisław Czernik**, iż współczesna poezja **"przeżywa impas bezkierunkowy"**, a ostatnim kierunkiem poetyckiem, który naprawdę się liczył, był nadrealizm. Stanowisko owo, wyrażone przed laty prawie dziesięciu, można niewątpliwie bardzo różnie traktować, niemniej jednak przypomina ono przede wszystkim prawdę niepopularną — uczula na zwodniczość klasyfikacji tego wszystkiego, co się obecnie w poezji dzieje. Rzadkość to bowiem, gdy któryś ze współczesnych poetów reprezentuje wyraźnie określony kierunek i zdecydowanie własną poetykę. Inaczej mówiąc: wpływy i zależności we współczesnej literaturze przybrały takie rozmiary, iż utrudniają stworzenie podziałów w pełni przejrzystych i adekwatnych. Podjąwszy się wszakże tego niewdzięcznego po trosze zadania (bo przecież zawsze zadaje się pewien gwałt twórcy, gdy oryginalny jego

OBLICZE ŁODZI POETYCKIEJ

dorobek zamknąć trzeba w typowej formule) spróbujmy wyłowić w twórczości poetów środowiska łódzkiego tendencje porządkujące.

W dokonaniach środowiska nie można wyodrębnić jednej „wiodącej" poetyki, ani dostrzec odrębnych „szkół". W tej sytuacji najprostrzy i najłatwiejszy bez wątpienia byłby tradycyjny podział na postawy apollińskie, to znaczy klasycyzujące, spokojne niejako oraz dionizyjskie — dynamiczne, rewoltujące. Byłby to jednak schemat zbyt ogólny. Zacznijmy zatem od tego, co z całą pewnością odróżnia twórców łódzkich od poetów z innych regionów Polski, czyli od zainteresowania tematem **„Łódź"**. Zdaję sobie sprawę z faktu, że gdyby ułożyć leksykon tematów literackich, to pod hasłem **„Łódź"** figurowałyby nazwiska ludzi nie tylko z miastem naszym związanych, ale temat ów jest naprawdę popularny w środowisku i to nie tylko w wyniku fascynacji wielkomiejską cywilizacją przemysłową i związaną z tym sprawą proletariacką. (Skoro dotknęliśmy już tej sprawy rzec trzeba, iż w Łodzi były bardzo żywotne inspiracje poezji proletariackiej i doczekały się ciekawych realizacji w wierszach na przykład **Antoniego Kasprowicza**, czy **Bronisława Wieczorkowskiego**). Poetyckie dokumenty związków twórców z miastem osławionym w literaturze poprzez mit **„miasta złego"** nie świadczą wcale o regionalizmie. Miasto traktowane jest jako naturalna „materia" poetycka, dostarcza licznych wzruszeń, problemów, rekwizytów. Większość łódzkich twórców mogłaby dziś z powodzeniem powtórzyć za Marianem Piechalem:

Łódź od śródmieścia
rośnie jak w drzewie
słój wokół słoja —
była Reymonta,
była Tuwima,
teraz jest moja!

Poetyckie zainteresowanie **„miastem kominów"** jest w pewnym stopniu przejawem szeroko reprezentowanej tendencji, tradycyjnie określanej mianem poezji patriotycznej czy też liryki obywatelskiej. W romantyzmie, a także i w okresach późniejszych na tym nurcie zasadzała się rola poezji w życiu narodu, dopiero po odzyskaniu niepodległości poezja nasza „zeuropeizowała" się w sensie wyzwolenia spod władzy wszechogarniającego kategorycznego imperatywu „polskości". Nie zaprzestała wszakże wyrażania poczucia więzi z własnym narodem, jego przeszłością, klęskami i zwycięstwami, zawsze uświadamiała narodową wspólnotę. Nurt ten ma swoje wyraźne odmiany historyczne, z ostatnią wojną i okupacją włącznie (np. w twórczości poetyckiej **Tadeusza Chróścielewskiego**), w zdecydowanej jednak większości jego realizatorów obchodzą sprawy teraźniejsze, patriotyzm jak najbardziej współczesny. I tu, gwoli egzemplifikacji, powinienem właściwie wymienić nazwiska wszystkich niemalże łódzkich poetów. Wspomnę jednak tych tylko, którzy najczęściej poruszają się w obszarze tylko co wymienionym: **Teresa Gabrysiewicz-Krzysztofikowa, Konrad Frejdlich, Tadeusz Giegier, Igor Sikirycki, Bernard Sztajnert, Jerzy Wawrzak, Jerzy Wilmański.** Bo przecież — jak powiada **Jan Kasprowski:**

W Warszawie i Łodzi
W Londynie i innych miastach
ciągle tylko o jednym:
czym był
czym jest
czym będzie ten kraj.

Wyraźnie zaznacza się postawa jakże inna, w której podstawowym instrumentem poetyckiej miary świata okazuje się ironia, dystans, swoiste poczucie humoru i absurdu. Twórcy tego kręgu hołdują poezji konceptu kulturowego, dowcipu intelektualnego, wykazując także skłonności zgoła ludystyczne. Chętnie posługują się zręcznym pastiszem, błyskotliwą aluzją, twórczość ich posiada wreszcie wystarczająco dużo ambicji dydaktycznych, by można było w tym momencie odwołać się do znanego sformułowania, iż „bawiąc — uczy". Taką poezję uprawiają między innymi: **Jan Czarny, Roman Gorzelski, Jan Huszcza, Mieczysław Michał Szargan, Henryk Józef Wiśniewski.** Z ujęciami powyższymi pozostają w łączności różnego rodzaju naśladownictwa, stylizacje (np. **Feliks Rajczak** w obrębie kultury ludowej) i chyba większość utworów nurtu lingwistycznego. Oto przykład poetyckiego humoru **Jerzego Jarmołowskiego**, jednego z najzdolniejszych poetów łódzkich średniej generacji:

czemu ja takie duperele piszę
gdy inni sprawy świata rozważają
mruczę do kota i trącam klawisze
czemu ja takie duperele piszę
gdy gadam z kotem to świata nie słyszę
ważne jest bowiem gdzie nas koty mają
i by to wiedzieć duperele piszę
gdy inni sprawy świata rozważają.

Współczesna problematyka obyczajowa reprezentowana jest stosunkowo licznie, w rozmaitych zresztą aspektach. Odwieczny temat miłości, zwyczajna codzienność, stary odchodzący świat i nowe, szokujące nieraz formy obyczajowe, konwencja i próby jej przekroczenia.

Obok tego poezja, którą metaforycznie określić można — jak to powiedziano kiedyś w odniesieniu do twórczości **Jarosława Iwaszkiewicza** — jako **„wyspę istnień chwilowych"**. Chodzi tu przede wszystkim o te utwory, w których cały świat poetycki przyporządkowany został refleksjom egzystencjalnym, pytaniom o sens naszego bytu i wszelkim z tym zagadnieniem związanym niepokojom, ujętym chyba najlepiej przez **Wandę Karczewską:**

Czy sen nasz życiem prawdziwym człowieka,
a my koszmarnym snem mściwego boga?

W takich to podstawowych sprawach wypowiadają się niemal wszyscy przedstawiciele środowiska, częściej od innych może **Maciej Józef Kononowicz, Zbigniew Kosiński.**

I znów coś zupełnie innego — „poesia docta", sięgająca w głąb wiedzy nie tylko humanistycznej. Najbardziej wyrazistymi przedstawicielami tego odgałęzienia są: **Andrzej Biskupski** i **Mieczysław Kucner.**

Istnieje w Łodzi znaczne zaplecze poetyckie, niedawnych debiutantów, nie należących jeszcze do Związku Literatów Polskich autorów pierwszych czy drugich tomików. Nie klasyfikując ich poezji (uczynił to **Zbigniew Dominiak** w niedawno wydanej przekrojowej **„Rzeczy Poetyckiej — Środowisko"**) wymieńmy grupę najbardziej obiecujących: **Dorota Chróścielewska, Grzegorz Kościński, Janusz Królikowski, Mirosław Kuźniak, Janusz Mieszczankowski, Andrzej Wiktor Mikołajewski, Rafał Orlewski, Adam Puto, Bogusław Sikorski, Ziemowit Skibiński.** Spośród zaś tych, którzy nie opublikowali dotychczas samodzielnego zbioru dwa nazwiska wydają mi się najbardziej godne uwagi: **Tomasz Soldenhoff** oraz **Ignacy Szczepański.**

Dążąc do zwiększenia możliwości publikacji utworów poetyckich **„Wydawnictwo Łódzkie"** realizuje, od roku bieżącego poczynając, nową serię wydawniczą pod nazwą **„Biblioteka Poetycka"**. Pierwsze tomiki nowej serii ujrzą światło dzienne w najbliższych tygodniach.

Na zakończenie tego informacyjnego przeglądu wspomnieć trzeba jeszcze o bezwzględnie silnej stronie środowiska poetyckiego — wielkiej sprawności przekładowej z literatur obcych, zwłaszcza z poezji narodów Związku Radzieckiego.

W Łodzi połowa członków oddziału Związku Literatów Polskich uprawia poezję. Równie liczne grono stanowią potencjalni następcy. Każdy z tych twórców posiada własne oblicze i stąd głównie wynika nieostrość powyższego podziału. Jedno da się wszak niewątpliwie powiedzieć o wszystkich: — ich twórczość jest swoistym „signum temporis", rzetelnym sejsmografem najróżniejszych spraw i zdarzeń obchodzących Polaków w połowie lat siedemdziesiątych.

Rzut oka na aktualny dorobek poetycki środowiska utwierdza w przekonaniu, iż należy ono w tym zakresie do ścisłej czołówki krajowej (i to przecież nie tylko z uwagi na trzecie pod względem ilości zarejestrowanych członków miejsce Oddziału Łódzkiego). Starałem się to ukazać nie zapominając wszakże ani na chwilę o czyhającym niebezpieczeństwie, przed którym przestrzegał jeden z największych mistrzów poetyckiego słowa — **Bolesław Leśmian:**

„Cokolwiek się powie o poezji jest błędem".

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

OPINIE

CZY LUBICIE POEZJĘ?

Dalszy ciąg ze str. I

lubiłem poezje Hugo i Eluarda.

Zawsze jednak największe wrażenie robiła na mnie poezja odkrywająca nowe światy, na przykład wiersze Majakowskiego i Chlebnikowa, a z polskich twórczość Przybosia, Różewicza i Białoszewskiego. Szczególnie dwaj ostatni są mi bliscy, ponieważ znam ich osobiście i przyjaźnię się z nimi. Z Białoszewskim przez wiele lat mieszkałem w tym samym domu. Często rozmawialiśmy, o wszystkim, przede wszystkim jednak o poezji.

Moje zainteresowanie poezją nie jest przypadkowe. Czyż można bowiem wyobrazić sobie plastykę bez poezji? Mógłbym przytoczyć cały szereg nazwisk wybitnych malarzy, których można nazwać poetami. Na przykład Dürer. Czy można mówić o twórczości Dürera bez Apokalipsy św. Jana, która jest dla mnie najwspanialszym poematem? Nawet Strzemiński, który pozornie wydaje się być odgrodzonym od poezji jest dla mnie poetą formy. Nie będę tu przypominał tak znanych związków Strzemińskiego z Przybosiem. Ich wzajemny wpływ był przecież ogromny.

Romantyzm dzisiaj? Stało się ostatnio modne, a to dzięki wystawie, której powodzenie wszystkich zaskoczyło. O potrzebie romantyzmu w naszym stechnicyzowanym świecie nie będę jednak mówił. To zbyt oczywiste. Niedawno słyszałem Daniela Olbrychskiego recytującego „Odę do młodości". Ten utwór najczęściej czytamy po raz pierwszy i chyba ostatni w szkole. Przyznam się, że byłem wstrząśnięty interpretacją Olbrychskiego. Jeszcze raz zrozumiałem, jak wielką potęgą jest słowo poetyckie.

LESZEK NOWAK — inżynier, naczelny dyrektor Elektrowni Adamów

Nie wymienię żadnego nazwiska współczesnego poety. Po prostu, kiedy przeglądam wiersz w prasie, to nie zwracam uwagi na nazwisko autora. Tak jak zazwyczaj nie zwracamy uwagi na nazwisko autora artykułu publicystycznego. Chyba, że zainteresuje nas temat artykułu. Jeśli jednak trafiają się interesujące artykuły czy reportaże, to rzadziej można zauważyć ciekawy współczesny wiersz. Widzi pan, we mnie tę niechęć do poezji wywołała szkoła, a raczej to bezmyślne szkolne wkuwanie wierszy na pamięć i analizy w stylu: co autor chciał w tym utworze powiedzieć?

Wydaje mi się, że funkcję poezji przejęła obecnie piosenka. To ona umie wzruszyć, zabawić, smucić się naszym smutkiem i cieszyć naszymi radościami. Po prostu teksty piosenek mówią o nas samych. Są wśród nich także dobre wiersze. Współczesna poezja odeszła, moim zdaniem, od życia, stała się wydumana, jakby bała się spraw prostych, ludzkich. Stała się hermetyczną wiedzą, dostępną tylko wybranym. Ale, kiedy mówię te słowa, nie znaczy to, że nie cenię ludzi, którzy zajmują się poezją. Cenię ich przede wszystkim za odwagę zajmowania się sprawami tak odległymi od współczesnego życia. Dlatego też z ogromnym niesmakiem oglądałem program telewizyjny, w którym jeden ze starszych twórców pouczał młodych, początkujących poetów. On ich nie pouczał, on ich ośmieszał.

RYSZARD SOBOLEWSKI — aktor Teatru im. S. Jaracza

Lubię dobrą poezję. Dobra poezja to taka, którą da się powiedzieć głośno, a przede wszystkim zapamiętać. Nie cały wiersz, ale choćby fragment, choćby jedną strofę. Aktor w ciągu całego życia uczy się wielu ról, a w tym także wielu wierszy. Tylko, najlepsze pozostają w pamięci na całe życie. Kiedyś dużo recytowałem. Byłem zapraszany do klubu studentów 77 na stałe imprezy pod nazwą „Nie ma zgody na śmierć poezji". Recytując tam wiersze widziałem skupienie na twarzach młodych słuchaczy. Oni naprawdę przeżywali każdy wiersz. No a potem były długie, ciągnące się przez wiele godzin dyskusje o poezji. Wiele dały mi te spotkania. Przede wszystkim zmusiły do przewartościowania pewnych pojęć dotyczących współczesnej poezji. Poza tym utwierdziły mnie te imprezy w przekonaniu, że współczesna poezja może oczekiwać społecznego rezonansu, że jest, mówiąc prościej, potrzebna ludziom. A przecież nie ma zbyt wielu okazji do zetknięcia się z nią. W ciągu 21 lat pracy w teatrze występowałem zaledwie w kilku spektaklach poetyckich. Toteż nic dziwnego, że zanika u aktorów, szczególnie tych młodszych, umiejętność mówienia wierszy. Zanika także przyzwyczajenie widzów do oglądania spektakli poetyckich. No, a gdzież mają ludzie wysłuchać dobrej pięknej poezji, pięknej mowy, jeśli nie w teatrze?

Proszę pana, mieszkam na Teofilowie naprzeciw szkoły podstawowej, pod moimi oknami przechodzą uczniowie tej szkoły. Słucham ich rozmów. Otóż, pierwszoklasiści mówią najczęściej bardzo poprawnie, ładnym językiem. Ci sami uczniowie w starszych klasach zaczynają mówić jakimś żargonem, niewiele mającym wspólnego z mową polską. Co się dzieje z ich polszczyzną w ciągu tych pierwszych kilku lat nauki w szkole? Jak my mamy

Dalszy ciąg na str. III

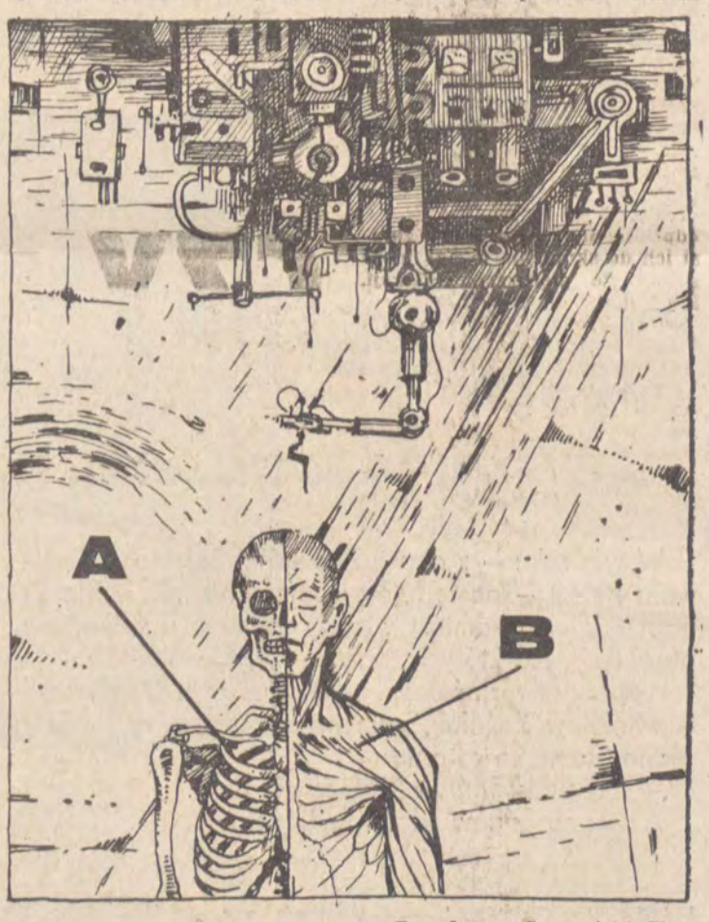

Rys. Janusz Szymański-Glanc

CZY LUBICIE POEZJĘ?

Dalszy ciąg ze str. II

ich później, już jako dorosłych ludzi zmusić do czytania i słuchania poezji?

JADWIGA POSZEPCZYŃSKA – kierownik Domu Kultury Ariadna.

Mam stały kontakt z tak zwaną młodzieżą trudną. Jest to środowisko bez sprecyzowanych zainteresowań. Na pewno zaś nie są wielkimi amatorami współczesnej poezji. A jednak oni są stałymi uczestnikami naszych poetyckich programów. Przygotowuje te programy nasz zespół estradowy. Inscenizowaliśmy już wiersze Jesienina, Gałczyńskiego i innych poetów. Wybór nie jest przypadkowy. Wiadomo, że jeśli młodym program się nie podoba to w najlepszym wypadku wychodzą z sali. Jak ich zainteresować, jak zmusić do wysłuchania trudnych przecież wierszy? Sposób jest prosty. Trzeba stworzyć klimat, odpowiedni nastrój, który zmusi ich do skupienia uwagi, może nawet do głębszych refleksji. Stąd starannie przygotowujemy oprawę każdej imprezy poetyckiej. Wygaszone światła, świece na stołach, wyciszona muzyka i recytacja dobrych, mądrych wierszy. Po każdej takiej imprezie przychodzą do mnie największe widzewskie rozrabiaki, mówiąc: pani kierowniczko, to było fajne. Kiedy będzie następny program?

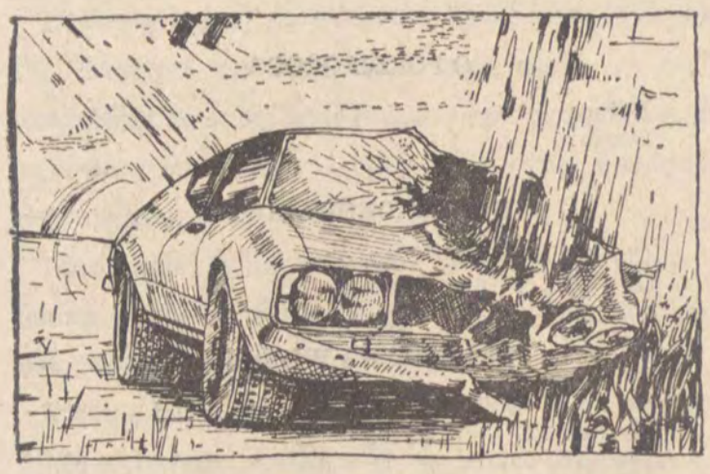

ANDRZEJ MAY – aktor Teatru Nowego

Nie lubię recytować poezji publicznie. Wieczory poetyckie, jakie mieliśmy w naszym teatrze, były dla mnie ogromnym przeżyciem. Chodzi o to, że zdaję sobie sprawę, iż każdy wiersz ma swój rytm, swoistą melodykę. W momencie, w którym zdarzy mi się zapomnieć to jedno jedyne słowo, wiem, że zniszczyłem wiersz. Kiedy jestem zmuszony do tego, aby publicznie recytować poezje mam tę straszliwą obawę, że przez to jedno zapomniane słowo zaprzepaszczę cały wysiłek autora. Dlatego wydaje mi się, że nie ma nic złego dla poezji w tym jeśli aktor nie recytuje wiersza, lecz czyta go. Odczytuje dobrze, wyraźnie, z jakimś określonym stosunkiem do utworu. Wiadomo, że współczesna poezja jest bardzo intymna.

Czasami jednak wydaje mi się, że jest tak intymna, tak osobista, że aż niezrozumiała. Poeci częstokroć operują znakami, symbolami sobie tylko znanymi. Nie znaczy to, że współczesna poezja jest zła. Jest tylko zbyt hermetyczna, mało komunikatywna. Dlatego też przed rozpoczęciem pracy nad wierszem staram się gruntownie go zrozumieć i gruntownie go odczuć. A kiedy go recytuję już ze sceny, to mówię tak, jakbym go sam napisał. Właśnie moim zdaniem tylko wtedy publiczność przyjmuje poezję. Po prostu zaczyna wierzyć aktorowi i autorowi. To było najwyraźniej widoczne podczas tych wieczorów kiedy graliśmy „Siódmego anioła" i „Pamiętnik intymny", a który obejrzą goście festiwalowi. Te dwa spektakle przekonały mnie, że poezja jest potrzebna, że publiczność chce słuchać dobrych, mądrych wierszy.

HALINA PABJAN – dyrektor ZDK przy ZPB im. J. Marchlewskiego

Bardziej wolę tradycyjną poezję niż tę nowoczesną. Jeśli już muszę słuchać współczesnej poezji, to tylko pod tym warunkiem, że wykonuje ją dobry aktor. Wtedy jakby więcej się rozumiało, lepiej wychwytywało niuanse i podteksty utworu.

Organizując przez wiele lat spotkania z twórcami, imprezy estradowe, w tym również imprezy poetyckie, dostrzegam niechęć, z jaką ludzie mówią o poezji. Może dlatego, że poezja jest sprawą intymną, a mówić o niej, to tak, jakby mówić o sobie, o swoich najskrytszych przeżyciach i myślach. Dlatego nie nalegam, jeśli podczas spotkań z twórcami nie ma zbyt szerokiej dyskusji, gdy ludzie niechętnie zabierają głos. Dla mnie ważniejsze jest to przeżycie, jakie dostarczają im recytowane przez twórcę wiersze.

W naszej pracy, a szczególnie w pracy zakładowej biblioteki poczesne miejsce zajmują właśnie spotkania z twórcami. Nie przychodzi na nie zbyt liczna grupa odbiorców, ale ci, którzy przychodzą naprawdę interesują się poezją. Są to przede wszystkim robotnicy pracujący w Marchlewskim.

BOGUSŁAW NOWAK – dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki w Piotrkowie

Muszę lubić poezję. Okazało się bowiem, że w województwie piotrkowskim mieszka wielu zdolnych młodych poetów. Tej swojej sympatii dla poezji i poetów staram się nadać konkretne kształty. Z jednej strony, jestem wiernym czytelnikiem ich wierszy, na przykład ostatnio przeglądałem tomik poetycki piotrkowianina Rafała Orlewskiego, z drugiej staram się pomagać naszym twórcom.

Trzeba chyba wspomnieć tu o organizowanym przez nas konkursie „O Rubinową Hortensję". Wśród laureatów tego konkursu jest wielu poetów mieszkających w naszym województwie. W ten sposób stwarzamy im szansę szerszej prezentacji, wyjścia z anonimatu. Nawiązaliśmy już kontakt z łódzką oficyną, która prawdopodobnie [illegible]ym roku wyda w osobnej publikacji książkowej pokłosie wszystkich dotychczasowych konkursów „O Rubinową Hortensję".

Zresztą rozpoczynamy stałą współpracę z Wydawnictwem Łódzkim. Dokumenty zostały już podpisane. Chcemy, aby piotrkowscy twórcy wydawali w tej oficynie swoje książki. Tu nasza pomoc nie ograniczy się jedynie do sfery moralnej, ale także znaleźliśmy na ten cel odpowiednie fundusze.

Sądzę, że jeszcze nie raz usłyszymy o naszym klubie literackim, który powstał przed kilkoma miesiącami. Na razie staramy się popularyzować dorobek naszych twórców na terenie województwa. Nasza biblioteka zorganizowała z nimi cykl spotkań pod nazwą „Twórcy żyją wśród nas". Bardzo liczymy także na ten drugi dzień ogólnopolskiego festiwalu poezji, który my przygotowujemy.

Dla twórców mieszkających w województwie piotrkowskim jest to jeszcze jedna szansa zaprezentowania swojego dorobku.

Doc. dr BOLESŁAW ŚWIDERSKI – dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej, kierownik Zakładu Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej

Lubię dobrą poezję? Co to znaczy „dobra poezja"? Nie przeprowadzając jakichś skomplikowanych analiz odpowiem wymienieniem nazwisk poetów, których twórczość cenię. A więc Szymborska i Kamieńska. Do ich wierszy sięgałem ostatnio najczęściej. Wiąże się to z moimi osobistymi przeżyciami. Straciłem niedawno kogoś naprawdę bliskiego. W wierszach Szymborskiej, a przede wszystkim Kamieńskiej odnalazłem to wszystko, czego nie umiałbym wypowiedzieć. Wydaje mi się, że do zbiorów poetyckich sięgamy najczęściej w chwilach kryzysu, osobistych przeżyć. Wtedy, gdy człowiek najsilniej odczuwa potrzebę zbliżenia się do podobnych kręgów emocjonalno-intelektualnych.

Natomiast w ostatnim czasie znowu zacząłem przeglądać dzieła wielkich romantyków. To zaskakujące, ale młodość, ta młodość szkolna jest najczęściej głucha na piękno poezji romantycznej. Dopiero dojrzałość zaczyna cenić i rozumieć jej urodę. Od lat szkolnych czuję sentyment do wierszy Asnyka. Nawet kiedyś próbowałem je analizować. Byłem też zafascynowany poezją Kasprowicza, między innymi również dlatego, że sam pochodzę z poznańskiego. Moje poetyckie sympatie wciąż się zmieniają, ale wynika to z upływu lat i nagromadzenia nowych doświadczeń.

IZYDOR KAŁUCKI – zastępca naczelnego dyrektora do spraw ekonomicznych ZPB im. Obrońców Pokoju

Lubię słuchać wierszy w dobrym wykonaniu. Na przykład, podoba mi się interpretacja poezji w wykonaniu Ignacego Gogolewskiego.

W pracy, w czasie tych ośmiu, a czasem i więcej, godzin nie ma miejsca na zajmowanie się poezją. To chyba zrozumiałe. Natomiast, gdy ukazuje się nowe wydanie „naszej trybuny", gazety zakładowej, zawsze dokładnie czytam wiersze Heleny Urban. To nasza pracownica zatrudniona na tkalni, która w każdym numerze naszej gazety publikuje okolicznościowy wierszyk. To jest ostatni numer pisma z wierszem Heleny Urban zatytułowanym „Serce matki".

„O serce Matki! Tyś jest najcenniejsze.
Tyś najgorętsze, najczulsze, najszczersze.
Nie ma klejnotu cennego tak wielce,
Jak Matki Serce."

Helena Urban pisze wiersz na każdą okazję. Nie jestem specjalistą od poezji, nie podejmuję się oceniania tego utworu, ale znamienny wydaje mi się fakt, że te wiersze są publikowane w zakładowej gazecie, więcej, są czytane przez załogę.

Jak powiedziałem, nie zawsze jesteśmy wiernymi czytelnikami współczesnej poezji, ale zawsze staramy się pomóc twórcom. Chciałbym przypomnieć, że od dwóch lat realizujemy hasło sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką. Podpisaliśmy wiele umów ze związkami twórczymi i instytucjami kulturalnymi. Twórcy, artyści na terenie naszego zakładu nie są rzadkimi gośćmi. Wiemy, że zakłady przemysłu bawełnianego I. F. Dzierżyńskiego podpisały porozumienie o współpracy z organizacją partyjną łódzkiego oddziału ZLP. Być może skorzystamy z doświadczeń kolegów z Dzierżyńskiego i w przyszłości podejmiemy podobną współpracę.

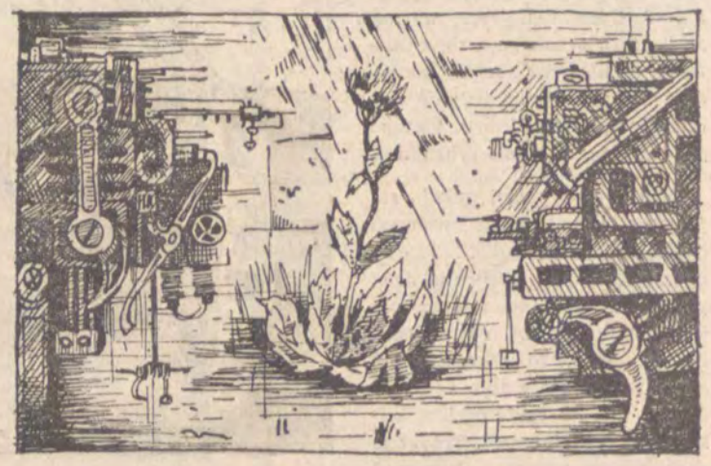

ROMANA MATER – reżyser radiowy

Lubię i cenię poezję, która odwołuje się do wzruszeń. Mogłabym tu wymienić wielu poetów, bowiem w radiu, reżyserując audycje poetyckie stykam się z różnymi poetami i różnymi poetykami. Na przykład, bardzo podobał mi się cykl wierszy zatytułowany „Drewniaki" łódzkiego poety, Jerzego Jarmołowskiego. Urzekł mnie piękny rytm tych wierszy. Bo, przyznam się, choć nie jest to ostatnio modne, że jestem szczególnie czuła na melodykę wiersza. Jestem także bardzo przywiązana do audycji zatytułowanej „Wiersze poetów afrykańskich", którą reżyserowałem przed kilkunastu laty. Pamiętam, że w pierwszej chwili zaskoczyły mnie w tej poezji nieoczekiwane skojarzenia, metafory, ale później urzekła mnie witalność tych wierszy. Odnalazłam w nich najprostsze ludzkie uczucia, tęsknotę do miłości, ból po stracie najbliższych, umiłowanie i zrozumienie przyrody. Niedawno reżyserowałam bardzo interesujące słuchowisko poetyckie. Były to wiersze Małgorzaty Hillar, do których muzykę skomponował łódzki kompozytor Zbigniew Bauer. Wiersze były tu inspiracją dla muzyka. W sumie wyszła rzecz naprawdę interesująca.

Jak pracuję nad wierszem? Otóż, zanim przystąpię do pracy z aktorem staram się znaleźć w każdym wierszu odpowiedź na proste szkolne, może nieco śmieszne pytanie: co autor chciał powiedzieć. Nie zawsze znajduję tę jasną, wyraźną odpowiedź. Czasem nie zgadzam się z autorem, czasem odnajduję tę odpowiedź po długiej i wnikliwej analizie. I to jest chyba ta niepowtarzalna radość, jaką daje obcowanie z poezją.

WOJCIECH GRABOWSKI – technik energetyk z Elektrowni Adamów

Kiedy czytam wiersz to chciałbym z niego cokolwiek zrozumieć. Przy lekturze współ-

Dalszy ciąg na str. IV

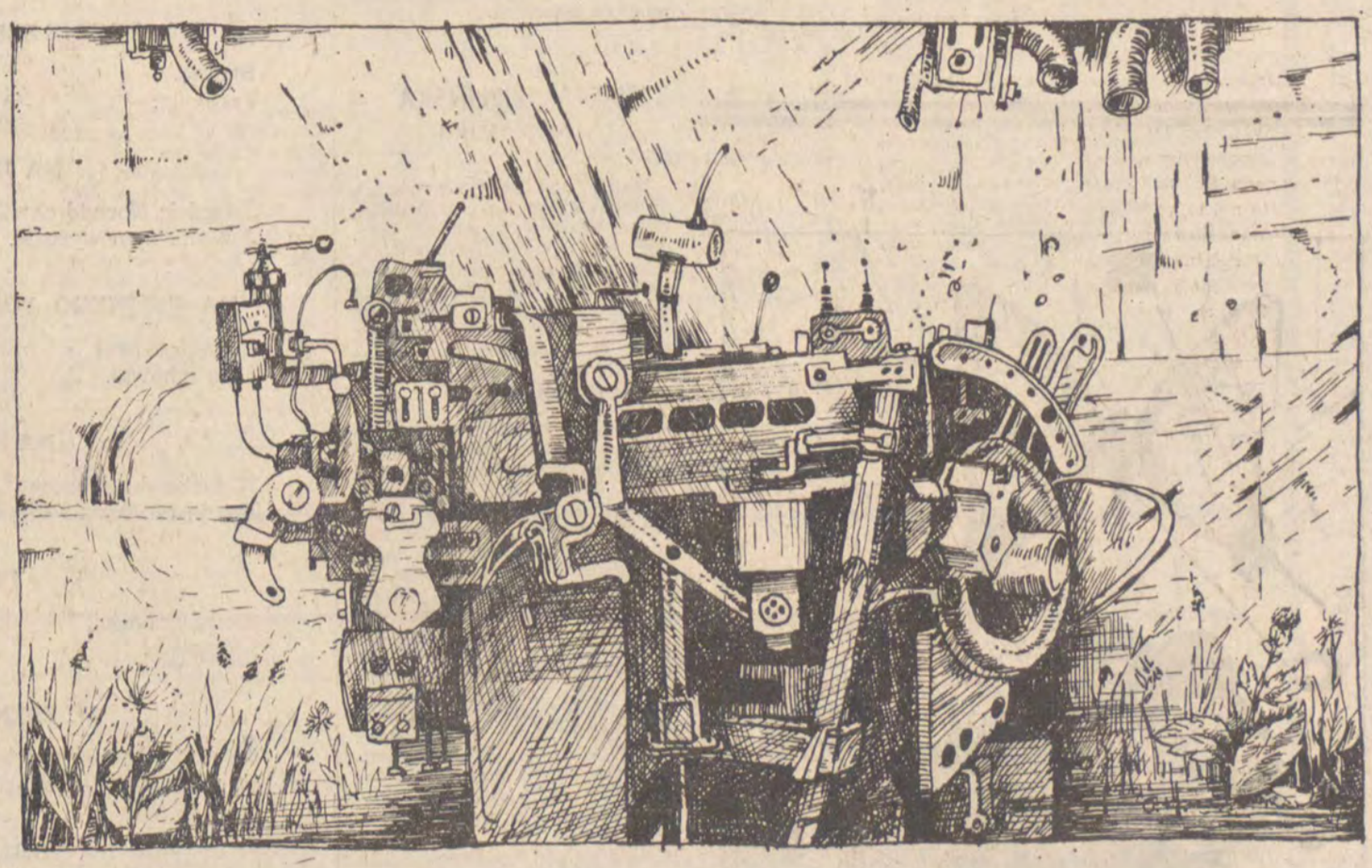

Rys. Janusz Szymański-Glane

OPINIE

Dalszy ciąg ze str. III

czesnych poetów nie zawsze mi się to udaje. Dlatego nie jestem zwolennikiem współczesnej poezji. Mówiąc szczerze, rzadko po nią sam sięgam. Czasem słucham audycji poetyckiej w radio albo telewizji. Ale dlaczego jest ich tak mało? Albo są same wiersze bez jakiejkolwiek próby wyjaśnienia ich sensu, albo jest komentarz, który niczego nie wyjaśniając, jeszcze bardziej zaciemnia obraz współczesnej literatury. Czy naprawdę o współczesnej poezji nie można mówić prostym, jasnym językiem? Czasem wydaje mi się, że krytycy prześcigają się z poetami w niezrozumiałym gadulstwie. A przegrywa jedynie słuchacz, odbiorca, który niczego już nie jest w stanie zrozumieć.

Poza tym o poezji mówi się jedynie przy okazji różnych okoliczności, na przykład teraz z okazji łódzkiego festiwalu. Jeśli poeci uważają, że tworzą coś wartościowego, coś, co wzbogaci człowieka, to dlaczego tak słabo propagują swoje utwory? Jestem stałym czytelnikiem kilku gazet codziennych. Rzadko w nich widzę wiersze. Dlaczego? Choćby stu czytelników gazety nie przeczytało tego utworu, to zawsze znajdzie się sto pierwszy, który przeczyta. Może go ten wiersz zainteresuje, wzruszy, zmusi do refeleksji? A może to będzie jeden z tych czytelników, którzy tak jak ja, uważają, że współczesna poezja jest niedobra.

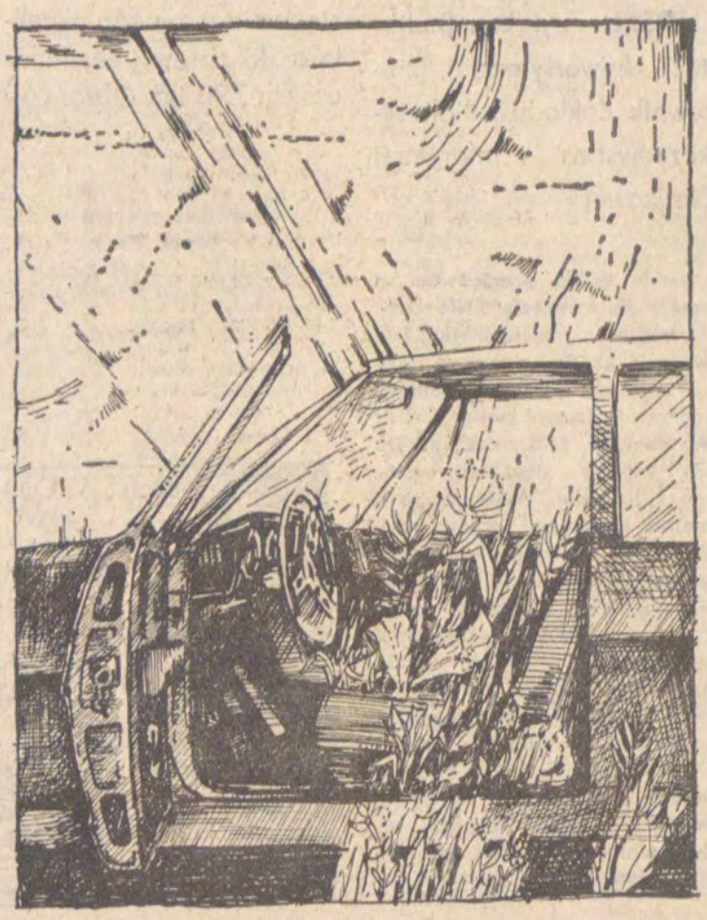

CZY LUBICIE POEZJĘ?

TADEUSZ WORONTKIEWICZ – reżyser telewizyjny

Lubię poezję, a najlepszym dowodem na to są moje dotychczas zrealizowane programy poetyckie. Niestety, ostatnio tych dowodów jest coraz mniej. Bodaj przed dwoma laty pracowałem po raz ostatni nad wierszami. Wanda Karczewska przygotowała wówczas bardzo interesujący zestaw wierszy współczesnych poetów. Pamiętam, z jakim zapałem przystąpiliśmy my, realizatorzy i wykonawcy do pracy nad tymi utworami. Obecnie jednak w naszym programie poezji jest mało. A muszę przypomnieć, że zaczynałem pracę w łódzkim ośrodku TV w latach pięćdziesiątych właśnie od realizacji programu poetyckiego. Robiliśmy wtedy z Henri Poulainem program oparty na wierszach francuskich impresjonistów. To były także początki pracy scenograficznej Poulaina. Obaj stawialiśmy pierwsze kroki. Do dziś pamiętam nazwiska aktorów, którzy recytowali wiersze: Michała Pawlickiego, Bogusława Sochnackiego i nie żyjącego dziś Jerzego Walczaka. Często wspominamy ten program. Może kiedyś wrócimy do niego, a może też przygotujemy coś nowego. Na przykład bardzo lubię poezję Anny Świrszczyńskiej. A w ogóle to jestem zwolennikiem poezji aktualnej, poezji reagującej na to, co dzieje się teraz. Gdyby zaproponowano mi takie wiersze chętnie podjąłbym się ich telewizyjnej realizacji.

JERZY KISSON – naczelny redaktor „Gazety Ziemi Piotrkowskiej"

Tak jak wszyscy w wieku młodzieńczym próbowałem pisać wiersze. Otrzymałem nawet nagrodę na konkursie. Z tego marzenia o poetyckiej sławie pozostał jedynie nawyk czytania wierszy. Wydaje mi się, że podobnie ma się rzecz z wszystkimi, którzy próbowali kiedykolwiek pisać wiersze. Dlatego nie przeraża mnie ogromna liczba początkujących poetów. Niewielu z nich uda się szturm na Parnas. Wszyscy zaś pozostaną wiernymi, wrażliwymi czytelnikami poezji. A na takich czytelnikach autentycznym poetom powinno zależeć.

Jestem wiernym czytelnikiem wierszy w prasie literackiej. Staram się także przemycać poezję na łamy naszej gazety, choć miejsca w niej niewiele. Ale od czasu do czasu ukazują się tu wiersze piotrkowskich poetów: Rafała Orlewskiego, Adama Puto, Feliksa Rajczaka. Zawsze natomiast publikujemy wiersze nagrodzone na konkursach literackich „O Rubinową Hortensję". Przetrwał on wszystkie burze i w tym roku odbył się już po raz dwunasty. Tegoroczny regulamin przewidywał nagrody nie tylko za najlepsze wiersze i opowiadania, ale także za najciekawsze reportaże. Niestety, jury nie znalazło wśród nadesłanych prac reportażu godnego wyróżnienia. Dziwne to.

GRAŻYNA KACZMARSKA – kierownik czytelni Biblioteki Wojewódzkiej w Piotrkowie Trybunalskim.

Do moich obowiązków należy między innymi przygotowywanie i prowadzenie spotkań autorskich. Organizujemy także spotkania z poetami. Przed każdym spotkaniem staram się przeczytać dostępne w naszej bibliotece tomiki twórcy, którego zapraszamy. Ale tu, uwaga. Wiele zbiorków poetyckich nie ma, nie tylko zresztą w naszej bibliotece. Nic dziwnego, skoro ich nakłady są śmiesznie małe.

Nie wszystkie spotkania z twórcami są udane. Powodów jest kilka. Przede wszystkim podczas wieczorów autorskich poeci odczytują kilka lub kilkanaście swoich utworów. Nie każdy twórca jest najlepszym odtwórcą. Do odbiorców docierają najczęściej nie najwyraźniej przeczytane strzępki wiersza. O czym później mają dyskutować słuchacze? O niekomunikatywności współczesnej poezji? Prawie każda dyskusja zaczyna się od narzekań na jej hermetyczność. Zastanówmy się, czy nie pogłębiamy tego stanu przez złe odczytywanie utworów poetyckich podczas spotkań z czytelnikami. Może byłoby lepiej, gdyby wiersze recytowali w czasie wieczorów autorskich uczniowie-recytatorzy? Autor natomiast komentowałby jedynie rzeczy, które mogłyby umknąć słuchaczom. Nie wiem, czy jest to idealne rozwiązanie. W każdym razie coś trzeba zmienić w dotychczas ustalonym wzorze spotkań autorkich.

ELŻBIETA ZIELIŃSKA – recytatorka

Najchętniej recytuję wiersze Broniewskiego i Gałczyńskiego. Czego szukam w poezji? Najogólniej mówiąc, wytchnienia, odprężenia po codziennych kłopotach. Właśnie dlatego lubię poezję Konstantego Ildefonsa, która przenosi mnie w zupełnie inny, trochę dziwny świat. Naprawdę przy lekturze jego wierszy wypoczywam.

Nie tylko recytuję wiersze, ale także zbieram tomiki poetyckie ale tylko tych poetów, o których wiem cokolwiek i którzy mnie interesują. Nie kupuję więc zbiorków poetów w ogóle nieznanych. Właściwie moje zainteresowanie poezją zaczęło się od recytacji wiersza podczas szkolnej akademii. Wiersz, nie pamiętam już kto był jego autorem, podobał się mnie i moim koleżankom. Zaczęłem więc czytać wiersze, nawet te, które nie wchodzą w zakres obowiązkowej lektury. I tak już pozostało. We współczesnej poezji jest jednak zbyt wiele utworów niekomunikatywnych, których w żaden sposób nie można zrozumieć. Kiedy porównuję wiersze Gałczyńskiego czy Broniewskiego z niektórymi utworami współczesnych poetów zaskakuje mnie inność, odmienność obecnych twórców. Tak jakby obecnie poeci zatracili gdzieś umiejętność jasnego i precyzyjnego wyrażania myśli.

Toteż kiedy przygotowywałam się do konkursu recytatorskiego pod kierunkiem instruktora Stanisława Jasicy wspólnie wyszukiwaliśmy wierszy, które by o sprawach trudnych mówiły prosto i pięknie. We współczesnej poezji nie było ich wiele.

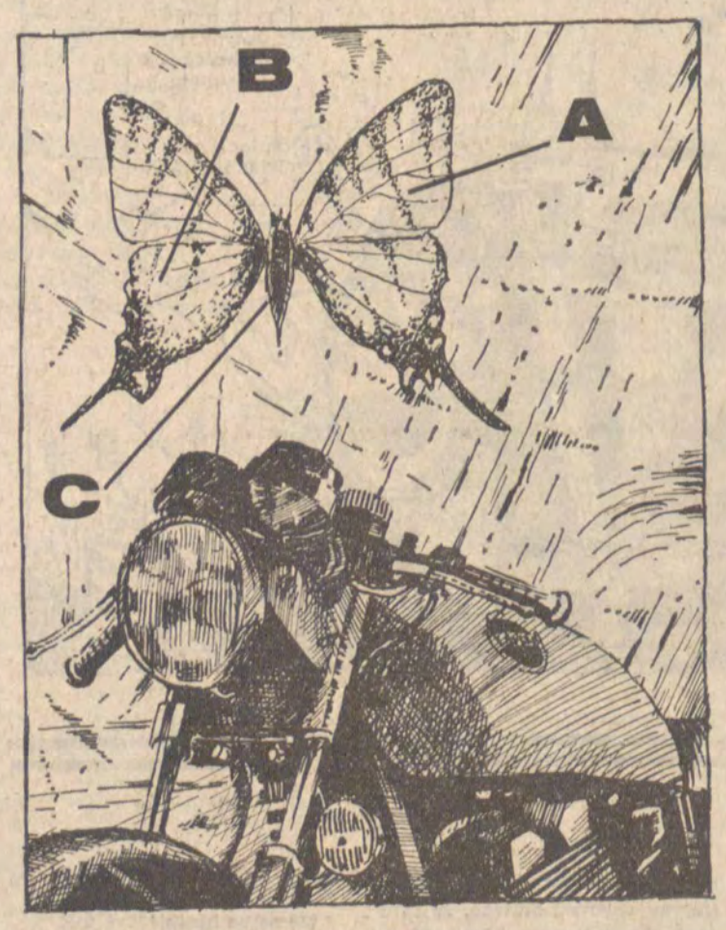

Rysunki: Janusz Szymański-Glane

SATYRA

MIECZYSŁAW MICHAŁ SZARGAN

ŁATKI

NA BRYLLA MISTYKA

Narodu rzucając przywary,
Bogu skoczył na bary.

ODNALEZIONY STRZĘPEK LISTU DO GROCHOWIAKA

„...a żem Cię opuścił Stachu, przebacz!

ZAWSZE TWÓJ POGRZEBACZ".

O POEZJI OŻOGA

Pożoga
Ożoga!

NA GĄSIOROWSKIEGO

Chociaż poezja nie kino,
On POEZJI Valentino!

NA KRYTYKA WAMPIRA

Co się w dzieło które wpije,
To z autora krew wypije.

NA TOMIK SZYMBORSKIEJ PT „SÓL"

Szczypie i boli
Ta szczypta soli.

NA ALEKSANDRA RYMKIEWICZA

Pomimo poezji głębokie wiry,
Ty Teofila nie rzuciłeś liry.

NA PISZĄCEGO W CIENIU LIPY

Nie pomoże i cień lipy,
Gdy poeta jest do lipy.

NA KURKA

Awangardy wzgórek,
Jalu Kurek!

DEWALUACJA KSIĘŻYCA

Odkąd człowiek na nim wylądował,
Księżyc się w poezji zdewaluował.

NA „POEZJE ZEBRANE" JASTRUNA

Struna.
Jastruna.

NA JERZYNĘ

Tu gdzie Norwid chwilę postał,
Jerzyna nam wyrosła.

NA PEWNEGO POETĘ KONTESTATORA

Zakontestował
I się schował.

NA KOZIOŁ

W fartuszku Konopnicka Maria.
Kto ją tak widzi? Chyba wariat!

PEAN

Słowa onaniści,
Lingwiści!

WLECENIE DUSZY

Do ciałka Harasymowicza,
Wleciała dusza Broniuszyca!

NA NIEJEDNE ŁAMY

Im łamy mocniej na łom zaparte,
Tym głośniej krzyczą: „Myśmy otwarte!"

MIRONA ZAWRACANIE WISŁY, KTÓRE NAPISZE

Zawracam kijem mowę,
Wisłę.
Płynie po krainie.
Nie chce.
Chamowo.

OPOWIADANIE

RYSZARD BINKOWSKI

OSTATNIE LATO

W cieniu bujnej zieleni brzóz, wierzb i topól świecą żółte łachy. Brzegiem martwego koryta rzeki wlecze się czarna krowa, zostawiając za sobą ślady racic. Krowa pochyla łeb, dotyka wargami dna. Jakby szukała wody... Ale wokół drgających nozdrzy kłębi się pył...

Nieco dalej kilkuletni brzdąc w kusych majtkach brodzi po kolana w piasku. Przykuca pośrodku koryta, buduje jakiś zamek, lepi z wilgotnego mułu babki.

Rzeka odeszła spod ludzkich domostw...

Nie wysychała powoli, nikt nie zdołał przyzwyczaić się do jej powolnego konania.

Zginęła śmiercią gwałtowną, w ciągu kilku godzin jej wody wtłoczono w nowe koryto, betonowe, z dnem wyłożonym folią.

1

Przez drogę przechodzi **Józefa Stefanek.** Jedną ręką wspiera się o płot, drugą zaś osłania oczy, bo majowe słońce wysokie, jasne i gorące. Chwilę przysłuchuje się rozmowie. Wzdycha, a potem patrząc w stronę brzóz za stodołami, pod którymi w wyscniętym korycie kręci się ogłupiałe stadko kaczek, mówi stłumionym głosem:

— Panie, żeby pan widział, jak mnie żal bierze, kiedy pójdę tam i popatrzę... Tak, jakby ktoś umarł...

— Jeden wielki pogrzeb — podejmuje nadchodząca z wiadrem sąsiadka.

— Czy tak musi być?

— Nie ma Widawki, to nie będzie i nas...

— Ale każdy musi znaleźć swoje miejsce.

— Nie takie proste — mówi ta z wiadrem. — **Ja na ten przykład mam czterdzieści pięć lat, mąż pięćdziesiąt jeden. Moglibyśmy jeszcze wziąć gospodarkę, ale dzieci nie chcą...**

— Żeby kupić nowe gospodarstwo — przerywa Stefankowa — **trzeba mieć uprawnienia.**

— Niektórzy, tacy pod sześćdziesiątkę, też by chcieli wziąć ziemię.

— A po co im? — zżyma się Stefankowa. — **Żeby za pięć lat państwo musiało przejmować?**

— No, a pani?

— Mnie wystarczy domek i z dziesięć arów placu. Ale bo to można kupić coś takiego? W Kleszczowie było trzydzieści arów, naczelnik uparł się, że nie wolno dzielić i kropka. A ja do miasta nie pójdę. Za suche, niezdrowe dla starszych powietrze. Ja muszę mieć swój groch, marchew, cebulę. I żeby można zasadzić trochę amerykanów dla siebie.

— A ja to bym wolała do miasta — odzywa się z boku drobna, zmizerniała kobieta. Ma spaloną słońcem twarz i czarne od roboty ręce, w których dźwiga kosz z ziemniakami.

— A bo wy, Białkowa — odpowiada Stefankowa — **to co innego. Wy jesteście wdowa. Gospodarka duża, to co się męczyć na stare lata?**

— Pewnie, pewnie — wzdycha wdowa. — **Każdy by chciał sobie polepszyć na starość. A pan wie, jak to w gospodarstwie bez chłopa. Baba sama nie wyrobi.**

— Wiem — mówię. — Gdy mąż żyje, kobieta i tak więcej się narobi.

— Święta prawda, panie. Dobrze, że pan rozumie.

Rozumiem. Przyjechałem do Piasków z informacją, iż we wsi pozostało zaledwie pięciu gospodarzy. Okazało się, że wyprowadziło się... ośmiu. Ale w to wczesne majowe popołudnie w zagrodach widzę prawie same kobiety.

2

Łatwo jest dąć w hurra-optymistyczne surmy. Że Piaski kojarzą się z tzw. światem zabitym deskami, gdzie tylko piaski, laski, cherlawa roślinność, a więc nie ma czego żałować. Rzucić tę cholerną biedę i odejść z radosną pieśnią na ustach!

Ale człowiek od lat walczył tu z przyrodą. Suszył bagna, wypalał torf, zmuszał do rodzenia piaszczystą glebę. Wieś była związana z rzeką. W rzece poili bydło, kąpali dzieci, łowili ryby, topili się i puszczali wianki na świętego Jana.

Kto tutaj się urodził i przeżył sześćdziesiąt lat, temu trudno mówić o odejściu. Zwłaszcza teraz, gdy najpiękniej rozkwita maj.

We wsi jest trzydzieści pięć domów, ale podatników osiemdziesięciu, bo ziemia została rozdrobniona.

Wdowa **Zofia Guciowa** ma syna, lat trzydzieści osiem, który nie chce się żenić i pracuje w Sosnowcu. Młodszy syn dopiero co wrócił z wojska. Guciowa mówi:

— Ziemia była rozdrobniona, ale nam scalili. Nie powiem, pszenica to się u nas nie urodziła, ale co idzie o żyto, owies, to zawsze były dobre. A pyry takie jak piąchy! No i trawy i siana było w bród! Krów żeśmy trzymali tyle, że mało kto więcej od nas w gminie dostarczał mleka do zlewni.

— Ale kiedy poszła fama — przerywam — że pod ziemią jest węgiel, ludzie przestali się interesować rolnictwem. Koni prawie we wsi nie uświadczy, krów mało.

—Nieprawda! Popatrz pan tylko — prawie wszystkie pola obsiane i obsadzone.

Rzeczywiście, znikoma część gruntów leży odłogiem. Z tym, że często wjeżdżają na nie maszyny i niszczą. Jeśli grunt został oszacowany do wywłaszczenia, właściciel nie uzyska odszkodowania za wyrządzone szkody.

— Kiedy w wyniku prac odwadniających zabraknie wody w glebie — mówi fachowiec z kopalni — **ludzie ruszą się z Piasków.**

Ale chyba dobrze, myślę, że rolnicy pragną do ostatniej chwili zbierać plony. Zresztą fakt, iż wieś opuściło dopiero osiem rodzin, a jedną z pierwszych była młynarka Paulewiczowa, wynika również z opieszałości w wykonywaniu oszacowań.

— Szacunki są niewysokie, proszę pana. Za taki dom murowany i nową oborę sto osiemdziesiąt tysięcy? Wolno to idzie. Najpierw wycenią kawałek lasku, potem zagonek, za miesiąc stodołę. Nie można zebrać grosza do kupy, żeby myśleć o kupnie czegoś konkretnego. A zresztą jak kupić coś w pobliżu, kiedy nie ma? A jak jest, to w jedno miejsce przychodzi po kolei pięciu chętnych i właściciel za każdym razem podbija cenę.

Ekspert od wywłaszczeń:

— Głupia sprawa. Brakuje biegłych. Musimy ich sprowadzać sporadycznie, nawet ze Zduńskiej Woli. Stąd te opóźnienia...

Podchodzę do pochylonej nad ulicznym hydrantem kobiet. Do wiadra, w którym leżą jakieś białe fatałaszki kropla po kropli cieknie niemrawo woda.

— Polikwidowano studnie, bo zagrody miały iść pod taśmociąg, i zbudowano hydranty. Ten się zepsuł. Naprawili, ale nie leci, trzeba chodzić pięćdziesiąt metrów dalej. Ale co się przejmować? Jak zabraknie wody, to i my odejdziemy...

3

Sołtys **Leon Kokociński** oznajmił w telewizji, iż on jako jeden z ostatnich opuści wieś. Jak kapitan tonącego okrętu. Albo też jak ojciec tej ginącej, skreślonej już z mapy wsi. Wsi, która w ostatnich latach, mimo wielu kłopotów i utarczek, zjednana wspólnym losem staje się jedną wielką rodziną.

Sołtysa dziś nie ma, udał się z podatkiem do gminy. Siedzę w obejściu, słońce piecze, gdaczą kury, wśród kwitnącej procesji sadów grają monotonnie pszczoły. Raptem indyk się zdenerwował i wyskoczył z gulgotem z cienia, a zaraz potem zajęczała gitara, rozległo się walenie w jakąś blachę i bełkotliwy głos wrzasnął z wielką rzewnością:

— O, Jezu, jak ciepło i miło! Jak w raju...

Odpowiedział mu ostry brzęk szkła i chóralny śpiew narodowy.

Bo nie wszyscy zaraz muszą rozpaczać. U Hamczyków piją na umór. Rozwaliła im się chałupa, wprowadzili się więc do opuszczonego przez Staszewską murowańca i balują. Starą Hamczykową oglądali już na kolegiach pokazowych w gminie, a dziś w samo południe (słyszałem tylko wrzaski) wybiła szyby swojej córce mężatce. Wybite szyby widziałem. Nie daj Boże takiej sąsiadki na przyszłość!

— Zaraz, zaraz! Sąsiadki?...

Ludzie milkną, oglądają się na boki, wbijają wzrok w ziemię.

— A bo widzi pan — przerywa milczenie sołtysowa — **taki Szewczyk obsiał tę starą ziemię i wyniósł się na nową gospodarkę. Tak samo Masiarek, Kiźlik osiadł w Gomulicach, inni w Bełchatowie. W sumie wyprowadziło się ośmiu. Każdy chciałby jak najbliżej, i to nie tylko ze względu na sentymenty. Mieszkać blisko kopalni, to znaczy dobrze zarobić. No więc jak mąż poszedł z listą przez wieś, to reszta, czyli prawie trzydzieści rodzin, zapisało się na bloki do Bełchatowa...**

— To znaczy, że będziemy mieli wieś w bloku, a sołtys może nawet zostać „blokowym"?

Ludzie uśmiechają się wzruszając ramionami.

— Przynajmniej razem — mówi wreszcie któraś z kobiet. — **Raźniej i weselej.**

W obejście zajeżdża młody chłopak. Wyprzęga konia, siada na ławeczce pod lipą.

— Młodzieży nie widać? — dziwi się. — **Wszyscy w szkołach albo w robocie.**

— A pan?

— Mnie czeka komisja wojskowa. Ale może jeszcze przedtem zrobię jakiś kurs na kopalni.

Zamyśla się. Drogą toczą się potężne maszyny potrącając słupki ogrodzeniowe.

Chłopak mówi z troską dorosłego:

— Dużo marnotrawstwa. Pokazują stare śmieci, a u nas większość domów murowanych. Cegłę trudno dostać, więc będziemy ludziom sprzedawać na rozbiórkę. Pozostało tylko to lato...

Ostatnie lato w Piaskach.

Idę przez wieś. Typowa ulicówka. Przy rozjeździe brzoza, krzyż, szopa, samochody osobowe, barak na kółkach. Zza kapliczki w girlandach kwiatów dolatują dźwięki „Kapitańskiego tanga". Kapliczki zadbane, podsłuchałem nieopatrznie, że mieszkańcy Piasków zakupili dla siebie mszę w kościele.

Stare odchodzi wolno, wolniej niż Widawka, etnografowie energicznie zbierają ostatnie plony.

I kontrasty. Przed solidnym białym obejściem świeżo założona ocynkowana siatka. I kiosk „Ruchu", a w nim Baśka Zbies, hoża blond dziewczyna o dużych niebieskich oczach.

— Jedni odejdą, drudzy przyjdą, a kiosk zostanie — mówi z optymizmem. — **Teraz klientów trochę mniej, ponieważ ustawiono kiosk przy montażu koparki.**

Pięćset metrów za wsią rośnie potężna maszyna. Wkrótce zapłoną na niej czerwone światła ostrzegawcze. Będą wznosić się coraz wyżej. A kiedy pod samym niebem zabłysną te nowe gwiazdy, w zmienionym krajobrazie powstanie kawałek innej, drugiej Polski, i ludzie odejdą z Piasków.

LISTY

„AMBICJE KULTURALNE BAŁUT"

Dyrekcja Dzielnicowego Domu Kultury Łódź-Bałuty zwraca się z uprzejmą prośbą o sprostowanie informacji — jaka ukazała się w waszym piśmie, 29.IV.76 r. nr 18(960) w artykule „Ambicje kulturalne Bałut" — na temat działalności naszej placówki.

W oparciu o jedną nieudaną imprezę, której „bohaterem" (niestety nie pozytywnym) był autor artykułu A. W. Mikołajewski, ocenił on całokształt działalności DDK na polu instruktażu, informacji i koordynacji działań kulturalnych w dzielnicy, wkładając nota bene tę ocenę w usta Kierownika Oddziału d/s Kultury Urzędu Dzielnicowego Łódź-Bałuty.

W załączeniu pozwalamy sobie przesłać notatkę służbową naszego pracownika mgr H. Kwiatkównej — odpowiedzialnego za ten odcinek pracy z rozmowy z mgr Alicją Ogińska, na której zdanie powołuje się A. W. Mikołajewski. Jak stąd wynika, nie udzielała ona waszemu współpracownikowi wywiadu na przedmiotowy temat czuje się zaskoczona użyciem swego nazwiska w inkryminowanym artykule.

Ze swej strony jesteśmy zdziwieni, że dziennikarz parający się informacją kulturalną myli zasadnicze pojęcia i przytacza na poparcie swoich tez, argumenty z zupełnie nie związanej z opisywanym zagadnieniem dziedziny.

Odnośnie imprezy, przytoczonej przez autora artykułu jako przykład niesprawnej działalności placówki, powiedzieć możemy jedynie, że organizowana pod patronatem Wydawnictwa Łódzkiego — „Trybuna Literacka" stanowi nowum dla środowiska starych Bałut i jako takie zdobywa dopiero swoją publiczność. Szereg wcześniej zorganizowanych spotkań z tego cyklu gromadziło od 15 do 25 osób. Liczba publiczności — rzecz zrozumiała kształtuje się w zależności od popularności nazwiska „bohatera wieczoru".

Na omawianą imprezę — odpowiedzialny instruktor — Teresa Michalska rozesłała 40 imiennych zawiadomień oraz zaprosiła Młodzież Technikum Budowlano-Drogowego, jak również bywalców okolicznych placówek społecznych. Ukazały się informacje w codziennej prasie łódzkiej oraz rozwieszone zostały 4 afisze w centralnych punktach osiedla.

Jest nam niezmiernie przykro, że nazwisko A. W. Mikołajewskiego nie wzbudziło zainteresowań naszych odbiorców — trudno nam jednak pogodzić się z faktem, aby to smutne wydarzenie miało stanowić jedyny asumpt do oceny naszej pracy. Honorarium autorskie, jako nie zrzeszony twórca otrzymał on zgodnie ze swym żądaniem wyrażonym przed imprezą — w wysokości 500 zł, zgodnie z postanowieniem zarządzenia Nr 29 MKiSz. z 13.III.1970 r. (§ 2 pkt. 2), stawka 300 zł nie była wymieniona w trakcie uzgodnień, a więc przed znajomością efektów imprezy. Nawiasem mówiąc ponieważ Dom Kultury jest placówką cierpiącą raczej na niedobór środków, koszty braku popularności A. W. Mikołajewskiego pokryli z własnych pieniędzy pracownicy DDK.

W tym miejscu pragnęlibyśmy i my powołać się na świadectwo dr Tadeusza Błażejewskiego, którego honoraria są znacznie niższe od wymienionego wyżej, a który w naszej placówce prowadził w ramach „Trybuny Literackiej" szereg udanych imprez.

Wierzymy, że Redakcja zechce zamieścić wśród publikowanych na swoich łamach w „Listach" nasze sprostowanie, oddając tym samym sprawiedliwość „Ambicjom kulturalnym Bałut".

mgr JANUSZ WIŚNIEWSKI
dyrektor
Dzielnicowego Domu Kultury
Łódź-Bałuty

★ ☆ ★

PAPIEROWY TYGRYS

W nawiązaniu od artykułu pt. „PAPIEROWY TYGRYS" zamieszczonego w „ODGŁOSACH" (nr 18/960) z 29 kwietnia br.), Łódzkie Przedsiębiorstwo Usług Pralniczych i Łazienniczych „Higiena" wyjaśnia uprzejmie:

1. Stosowanie pokwitowania w formacie A—6 przed wprowadzeniem pokwitowania krytykowanego w w/w artykule, budziło wiele zastrzeżeń naszych klientów odnośnie opisywania powierzonego mienia. Z tej racji na polecenie byłego Zjednoczenia Przedsiębiorstw Państwowego Przemysłu Terenowego m. Łodzi przedsiębiorstwo wprowadziło wzór pokwitowania obecnie stosowanego.

2. Kierownictwo przedsiębiorstwa podziela podnoszone uwagi w związku z tym informuje, że wprowadzone pokwitowania będą stosowane tylko do momentu wyczerpania nakładu w ilości 200.000 egz.

Dziękujemy za poczynioną uwagę.

inż. MARIAN SAJKOWSKI
(zastępca dyrektora)

OŚWIATA

ZGODA KTÓRA nie BUDUJE

Patrzę na starannie wydaną broszurkę błękitnego koloru nadziei, odczytuję raz jeszcze tytuł: „Kodeks ucznia", wprowadzony zarządzeniem Ministra Oświaty i Wychowania z 8 sierpnia 1975 r. Mam więc przed sobą dokument nie spotykany w dziejach naszej szkoły. Nowy i odważny. Minister a także Naczelnik Związku Harcerstwa Polskiego piszą we wstępie pod adresem młodzieży:

„Kodeks ucznia stanowi zbiór praw i obowiązków każdego z was. Razem je układaliśmy, wykorzystując doświadczenia najlepszych szkół, samorządów uczniowskich i drużyn harcerskich. Jest on więc wspólnym dziełem uczniów i nauczycieli, wyrósł z dorobku i potrzeb socjalistycznej szkoły w Polsce Ludowej. Teraz wspólnie odpowiadamy za dobre wykonanie w każdej szkole zawartych w Kodeksie postanowień".

Miło czytać o wspólnym dorobku nauczycieli i uczniów. To tak powinno być. Ławę szkolną nawet i dzisiaj przeciwstawia się czysto profesorskiej katedrze, jakby tu miało chodzić o sprzeczność nie do pogodzenia. Podobno Kowalski, ten z ostatniej ławki, zawsze pragnie oszukać swojego wychowawcę, na to nie ma rady. Ściąga od kogo się da, smaruje tablicę masłem, mdleje w momencie odpytywania, rozbija głowy słabszym, montuje jakąś nieformalną społeczność szkolną, której chce przewodzić, tylko uczyć się nie chce.

W uproszczonym rysunku tej rzekomej sprzeczności wychowawca także nie przedstawia się najlepiej. Rad by mieć w klasie Kowalskiego grzeczniutkiego, ulizanego, który umie tylko to co trzeba i nauczycielowi wystarczy. Uczy się pilnie przy pomocy znanej ongiś metody „palcowej", „od strony do strony". Kowalski układny, posłuszny, uczesany zgodnie z gustem zmieniających się wychowawców. Kowalski, który jest tylko odbiornikiem, nie ma zbyt wiele do powiedzenia, nawet za siebie z trudem odpowiada, cóż dopiero mówić o szkole.

Przesadzam — rzecz prosta, dzisiaj rzadko można napotkać tego rodzaju sprzeczny układ, ale to wcale nie znaczy, że dzieje naszej szkoły sprzyjały bez reszty współdziałaniu ucznia i nauczyciela. Nie było tak przecież w okresie pajdokracji, kiedy i uczniowie odsyłali nauczycieli do kąta. W okresie wielkiego tłoku w naszych szkołach także nie było łatwo o współdziałanie obu stron. Jakże zawiązać skuteczny stosunek wychowawczy, kiedy nauczyciel stawał przed olbrzymią klasą, liczącą czterdziestu i więcej Kowalskich?

Mamy dzisiaj do czynienia z inną szkołą. Nowoczesną, dobrze wyposażoną w odpowiednie pracownie i wszystkie środki pogłębiania i utrwalania wiedzy, zbliżoną znacznie do życia, w którym przyjdzie Kowalskiemu czynnie uczestniczyć, opartą na starannie już przemyślanej reformie systemu nauczania i wychowania. W tej sytuacji Kodeks Ucznia — jak się zdaje — przyszedł w samą porę. Nie jest to dokument burzący dotychczasowy ład szkoły, niczego nie wywraca do góry nogami, przeciwnie, jego zalecenia precyzują tylko istotne cechy atmosfery wychowawczej nowoczesnej i socjalistycznej szkoły.

„Pragniemy — piszą autorzy Kodeksu — aby szkoła była tym miejscem, w którym w pełni ujawnią się wszystkie Wasze cenne inicjatywy, zrealizują potrzeby samodzielności i aktywności, sprawdzą umiejętności zespołowego działania, aby okres pobytu w szkole w pełni przygotował Was do twórczego udziału w życiu społecznym, do realizacji zadań i obowiązków ludzi dorosłych."

Nic dodać i nic ująć. Szkoła ma być tym miejscem szczególnym, gdzie nie ujarzmia się młodości, lecz przeciwnie — pozwala jej w zorganizowany sposób dojrzewać. Kodeks bardzo precyzyjnie wyznacza rolę współgospodarza szkoły organizacjom ideowo-wychowawczym młodzieży i samorządowi. Młodzież zyskuje więc prawo uczestnictwa w posiedzeniach rady pedagogicznej, czy komitetu rodzicielskiego nie po to, rzecz prosta, aby stawiać stopnie Kowalskiemu, lecz wnosić pod rozwagę własne pomysły.

O ile dobrze wiem — Kodeks Ucznia ożywił nasze szkoły, wywołał dużo pożytecznych dyskusji i jest realizowany z pożytkiem dla szkoły. Pod tym względem do pierwszych należy ponoć Kraków. Do ostatnich — niestety — Łódź. Trzydzieści procent szkół naszego miasta przemilczało Kodeks. Aż się wierzyć nie chce. W planach dydaktyczno wychowawczych — o czym donosiła prasa codzienna — niemal co trzeciej szkoły darmo szukać choć jednego słowa o zarządzeniu Ministra Oświaty i Wychowania, ani śladu jakiegokolwiek zainteresowania możliwością wspólnego działania. Daleki jestem od uogólnień, ale w niektórych szkołach bito bez mała na alarm, że zanosi się rzekomo na powrót do pajdokracji, upadek autorytetu nauczyciela, zmniejszenie siły jego egzekucji. Kto to słyszał, żeby Kowalski miał wiedzieć, kiedy będzie odpytywany, albo kiedy mu wypadnie pisać wypracowanie klasowe? Zawsze zdoła złapać dobrą formę na określony dzień, nie jest przecież zimowym olimpijczykiem, a potem będzie bimbał. Kto to słyszał, żeby uczeń miał prawo uznać, że niesłusznie otrzymał zbyt niską ocenę, miał prawo odwoływać się od decyzji nauczyciela?

Oczywiście — przesadzam trochę, ale takie głosy także się słyszało.

A młodzież łódzka? Wydawać by się mogło, że przez nasze szkoły przejdzie coś w rodzaju burzy i naporu, młodzież chwyci wiatr w żagle, ożywi się, wniesie wiele świeżego do atmosfery wychowawczej szkoły. Nic się takiego nie stało. Trudno uwierzyć, ale 40 procent szkolnych organizacji harcerskich w ogóle nie zauważyło Kodeksu Ucznia, wydanego — nawiasem mówiąc — przez „Horyzonty", a więc wydawnictwo harcerskie. Podobnie zachowało się 20 procent samorządów szkolnych.

Sprawa staje się poważna. Trzeba odpowiedzieć sobie na niebagatelne pytanie — skąd taki brak zainteresowania jeżeli już nie marazm u młodzieży? Słyszałem opinie sugerujące, że nasza młodzież po prostu nie dojrzała do tak ambitnego Kodeksu, nie potrafi go wprowadzić w życie, brak jej przygotowania. Rozmaicie nazywane, ale zawsze poświęcone wychowaniu obywatelskiemu lekcje, nie przyniosły pożądanych efektów, jałowe były, nie przygotowywały młodzieży do aktywnego życia społecznego, do roli współgospodarza szkoły. Jeżeli to prawda — to tylko częściowa. Propozycje kulturalne, intelektualne, czy nawet organizacyjne łódzkiej młodzieży nie należą do szczególnie bogatych, nie tylko zresztą w szkołach średnich, ale i akademickich. I tej sytuacji nie da się rozwiązać wskazując palcem tylko na wychowawców, trzeba także — jak sądzę — głębiej wejrzeć w pracę organizacji młodzieżowych.

Tak więc trzeba powiedzieć, szanując tych, którzy szczerze chcą nowoczesnej szkoły, że — jak na razie — panuje u nas zgoda na zasadzie: „noli me tangere", nie tykaj mnie, a będziesz miał z mojej strony spokój. Jest to wszakże zgoda, która nie buduje.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

PLASTYKA

WSPOMNIENIE PŁONĄCEJ RÓŻY

W Salonie Sztuki Współczesnej BWA kolejny pokaz z cyklu „tendencje nadrealne i metaforyczne w sztuce" — grafika artystyczna Mieczysława Majewskiego z Warszawy. Pomyślano go niemal jak jubileuszową retrospektywę; obejmuje dorobek ostatnich 15 lat twórczości znakomitego malarza, ilustratora książek i grafika starszego pokolenia. Majewski jest artystą o trwałej pozycji, laureatem wielu nagród i wyróżnień.

Myślę, że ekspozycja przeszło 50 grafik z lat 1962—76 jest przedsięwzięciem szczęśliwym nie tylko dla kontaktu widzów z jego sztuką — lecz także dla określenia, czym tłumaczy się wywoławcze hasło cyklu prezentowanego w Łodzi od kilku już sezonów. Mieczysław Majewski należy do pierwszego pokolenia twórców, którzy z początkiem lat 60-tych podjęli dialog ze współczesnością w oparciu o rodzimą tradycję „słowiańskiego liryzmu" (dziś chętnie określanego mianem romantyczności), uzbrojeni w przeświadczenie o potrzebie głęboko osobistej wypowiedzi. Fala europejskiego nurtu „informel" wskazała artystom drogę, na której nie rezygnując z chęci odtwarzania świata mogli penetrować obszary wyobraźni sobie tylko znanym sposobem. Natura stała się dla nich tworzywem subtelnych lub syntetycznych wizji, zamkniętych w kręgu tematów osobistych i niemal intymnych. Realistyczną dosłowność zastąpiła metafora — literacka anegdota o postawie artysty wobec bliskich mu spraw. Liryczna abstrakcyjność „informelu" dopuszczała całkowitą swobodę środków wypowiedzi — lecz także wymagała związku z życiem i dyscypliny właściwej dla sztuki, której zadaniem miało być powtarzanie rytmu teraźniejszości.

Grafiki Majewskiego z lat 60-tych przypominają o wojnie, która naznaczyła na zawsze pamięć „pokolenia Kolumbów". Perspektywa czasu zamienia grozę pożogi w obraz wypalonej rakiety — konstrukcji stworzonej rękoma artysty z okruchów spopielałego płótna. Tuż obok muzyczne akordy organowych piszczałek, jakby dla ostatecznego potwierdzenia triumfu Dobra nad Złem. „Spotkanie", „Marzyciel"; tytuły grafik określają zmianę pola widzenia. Następuje uspokojenie, precyzyjne szukanie własnego obrazu świata: silnie odrealnionego, choć złożonego z materialnych kształtów. Styl tych grafik wyznacza motyw zwijającej się, pulsującej i przepływającej materii zmiennej jak wiązka płomieni. Sylwetki ludzi i przedmiotów zawieszone są w abstrakcyjnej pustce, którą wypełniają języki ognia bujnego niczym tropikalne rośliny, poruszane niewidzialnym wiatrem. Płonie róża i włosy złączonej z kalekim ptakiem Ledy. Pali się wieczny znicz: twarz bohaterskiej żołnierki („Pamięci Anieli Krzywoń") — dziewczyny, której włosy mogłyby rozwijać się w tańcu jak u bohaterek filmów „nowej fali".

W pracach z ostatnich lat materia przybiera określone kształty, konkretyzuje się. Liście opadają na ramiona dziewczyny („Jesień"); nie są jednak obumarłe, lecz zwijają się w powolnym tańcu i żyją. To symbole pojęć z kręgu codzienności i poetyckie znaki protestu przeciw nieuchronnej śmierci biologicznej, przeciwko niszczeniu przyrody przez człowieka. Piękna, nastrojowa grafika „Spragniony" jest, jak sądzę, kluczem do zrozumienia niepokoju artysty o prawo zachowania intymnego azylu w nieprzyjaznym świecie masowej cywilizacji.

W grafikach Majewskiego obok metafory jest jeszcze głęboka refleksja o życiu z perspektywy wielu lat doświadczenia. Dlatego właśnie w jego świecie nic zdaje się nie być zamknięte ostatecznie, każda z form — okruchów tradycji, mitów i symboli — niemal fizycznie rozrasta się, spala życiodajnym ogniem, krąży po odwiecznej, niewidzialnej orbicie. Jest tu także radość tworzenia i satysfakcja z manualnej umiejętności budowania obrazu wiecznie żywej materii.

Współczesne odmiany nurtu metaforycznego, bardzo znaczące we współczesnej sztuce, atakują wyobraźnię pozornie mocniej. Posługują się nowoczesną techniką, przeciw której często występują. Dotykają spraw ostatecznych, jakby w obawie o brak intelektualnej głębi. U malarzy i grafików spod znaku „nowej figuracji" dominuje niekiedy klimat katastrofizmu, poczucia niemocy.

Niewiele z tych nastrojów kryzysu da się zauważyć w twórczości Mieczysława Majewskiego. Jest „metaforykiem" niemal od początku narodzin tego nurtu; w jego dorobku odbiły się główne tendencje metaforyczne, sam był także ich współtwórcą. Spotkanie z jego sztuką na łódzkiej wystawie pozwala na obserwowanie początków i ewolucji stylistyki metaforycznej. Bardziej jednak cenne wydaje się być po prostu obcowanie z kameralną sztuką grafiki; odbitym w nastrojowych mezzotintach i kwasorytach dziwnym, choć w końcu przyjaznym człowiekowi światem.

ANDRZEJ MAJER

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

CHRISTIANIA

(KORESPONDENCJA Z DANII)

Dalszy ciąg ze str. 1

2.

Ponury, ufortyfikowany, otoczony kanałami teren w starej dzielnicy portowej stworzył niegdyś król Christian XVI dla potrzeb marynarki. Z biegiem lat powstały tam dokładnie sto pięćdziesiąt cztery budynki: koszary, prochownie, warsztaty, magazyny, kamienice, w których oprócz matrosów żyli również robotnicy pracujący na rzecz floty wojennej. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku władze zaczęły ich wszystkich wysiedlać, ustały fabryki, zaryglowano bramy, Christiania uznana została za enklawę w stanie śmierci technicznej i odcięta od miasta.

Na pewno były — i są! — plany zagospodarowania terenu — najdroższego i najpiękniejszego w Kopenhadze. Jednakże hippiesi okazali się szybsi od koparek, buldożerów i spychaczy, a może nawet od projektów zakładających budowę nowoczesnej, wielopiętrowej Christianii.

Z początkiem siedemdziesiątego drugiego w opuszczonych domach i koszarach gnieździło się zaledwie stu kilkudziesięciu długowłosych. Zima nie była przyjemna — mrozy, deszcze, zawieje, więc dobry pan Minister Obrony, oficjalny gospodarz terenu, zdobył się na iście monarszy gest, wręczając hippiesom klucze do Christianii. Tok myślenia był logiczny: jak mają wegetować w śródmiejskich bramach i żerować na śmietnikach, niech lepiej zajmą bezużyteczną, póki co, fortecę, tym bardziej, że są przecież wśród nich niemowlęta i dzieci ze świętym prawem do dachu nad głową.

Dobroć Ministra sankcjonowały jednak przepisy. Skoro zużywacie wodę, światło i gaz, musicie za to płacić. Nie można powiedzieć, aby przyjęli ten warunek z entuzjazmem. Migali, targowali się uparcie, ale coś tam zawsze płacili, nie bardzo pewnie świadomi, że zdobywają w ten sposób przywilej rzeczywistych lokatorów i tworzą niebezpieczny precedens...

Ich ideowi bracia próbowali kiedyś wykupywać wymarłe wioski na Południu Francji i Stanów Zjednoczonych, szukali koczowisk w Azji i Afryce — kończyło się to jednak z reguły klęską: eksmisją, szpitalem, więzieniem. Christiania ominęła jakoś te mielizny. Pewnie dlatego, że organizowała się spokojnie, konsekwentnie, trochę jakby na modłę mieszczańską. Owszem: brody, wąsy, półmetrowe włosy, zaśniedziałe fetysze, bransolety, ale z narkotyków tylko hasz. Pochodne opium i LSD znalazły się na indeksie i choć ponad dwustu christiańczyków strawiły właśnie te najcięższe używki, komuna usiłuje wysyłać ich na leczenie do klinik królewskich i do Egiptu, dysponując na ten cel specjalnymi funduszami.

Nie na tym zresztą kończą się imitacje struktur mieszczańskich. W Christianii powstawały kolejno, na przestrzeni kilku ostatnich lat, hippiesowskie kioski, sklepy, bary, restauracje, teatry, zespoły beatowe, coś zbliżonego do żłobków, coś zbliżonego do szkoły, w której jedna jedyna nauczycielka edukuje na sposób specjalny jedynych sześciu uczniów, coś zbliżonego do szpitala, gdzie pracują tylko dwie pielęgniarki i kilku zbuntowanych studentów medycyny, a leczy się wyłącznie ziołami. Jest także schronisko, buduje się hotel, od niedawna funkcjonuje poczta, nad którą, jak nad wieloma innymi budynkami powiewa flaga Królestwa... Transport zapewniają wyremontowane przez hippiesów wozy konne oraz strupieszałe samochody. Dopływ informacji gwarantuje własna gazeta, a także drukarnia emitująca codziennie setki ulotek, plakatów, folderów, manifestów. Ma Christiania własne pastwiska: kozy, barany, kury, króliki — nikt tu bowiem nie pogardzi mleczkiem i jajeczkiem, co zaś się tyczy mięsa, w wielu mieszkaniach widziałem wędzone dorsze. Niewykwalifikowana akuszerka odbiera tutaj — nie mówię oczywiście o pastwiskach — wątłe noworodki, które w liczbie pięćdziesięciu paru wzbogaciły ludność komuny. Matka trojga krzywicznych dzieci, niejaka Tina Schmedes, została w wieku dwudziestu ośmiu lat egalną reprezentantką interesów Christianii w Radzie Miejskiej. Jeśli się doda, że na usługach hippiesów pozostaje z własnej i nieprzymuszonej woli kilku rutynowanych znawców prawa z najgłośniejszym adwokatem Danii na czele, to można złożyć Jej Królewskiej Mości wyrazy szczerego ubolewania.

Państwo w państwie powstało. Miasto w mieście: Czarny Watykan, który urósł do rangi pierwszego problemu, jako że pornografia zaczęła w ostrym tempie plajtować. Słowo „czarny" rzucam trochę na wyrost, ale wkrótce je udowodnię.

3.

Zrazu bytowali tu wyłącznie Duńczycy. Potem, kiedy się rozniosło, zaczęli nadjeżdżać Holendrzy, Francuzi, Anglicy, Amerykanie, przedstawiciele narodów afro-azjatyckich, Eskimosi z podległej Królestwu Grenlandii, Meksykanów trochę i Brazylijczyków. Prawdziwy kocioł etniczny z tego wszystkiego się zrobił w sercu pięknej, schludnej i bogatej Kopenhagi. W miejsce seksu, który bił do niedawna z witryn w bezwstydnym rozkroku, powodując w gruncie rzeczy oziębłość do „tych spraw", pojawiły się narkotyki — dużo groźniejszy, podstępny wróg. Tak przynajmniej oceniła to policja. Rok temu, kiedy w kopenhaskim Faelledparken odbył się światowy zjazd zwolenników miłości totalnej: **HETERO — HOMO — LESBIAN SOCIETY**, i kiedy bractwo odprawiło na trawce czarną mszę, widzów nie było dużo, a policjanci nie interweniowali. Gdzieś jednak muszą być granice wolności. W pewnej chwili trzeba powiedzieć: **STOP.** Jeśli naród liczy tylko pięć milionów, haszysz może go zdegenerować i przetrzebić. Zatem, w imieniu narodu, zaczęło się polowanie na przemytników białej śmierci. Kogo zaszpiclował konfident a zgarnął policjant, szedł za kratki przynajmniej na dwa lata, co w duńskim wymiarze sprawiedliwości stanowi karę niezwykle wysoką. W samej Christianii jednak, aczkolwiek władza ma tu swoje długowłose wtyczki, nikt się polować nie ośmiela. Może świeża jest pamięć o zabitym policjancie? Może teren zyskał sobie cichą niezawisłość? Nie tylko w nocy, od której zacząłem reportaż — także w biały dzień, na oczach setek turystów i mieszczuchów, którzy przychodzą tutaj z dzieciakami jak do ZOO, w przytomności samego Ministra Obrony odbywa się sprzedaż: z ręki do ręki. Handlarze kucają i drobią albo trą kawałkami szkła swój towar, przy czym nie ma w tym najmniejszego skrępowania i żadnej bojaźni.

Wiadomo: wpaść można poza Christianią — w nowej dzielnicy portowej, gdzie roi się od prostytutek i marynarzy, w śródmiejskich lokalach, które kryją swoje brudne sprawki, na placyku obok Blagardsgade, grupującym w słoneczne dni najgorszy cudzoziemski element: toczonych nałogiem zwyrodnialców.

Christiania zachowuje pozory praworządności, choć właśnie od niej roznosi się narkotyczna zaraza. Christiania udaje ład i porządek. Piąty rok już mija bez mała, odkąd zaczęła się hippiesowska era Christianii.

Niewiele brakowało, a przyjechałbym akurat na pogrzeb. Bo przecież rząd nie poniechał planów przestrzennego zagospodarowania terenu i pozbycia się przy okazji dokuczliwego wrzodu. Współczucie współczuciem, ale już dość! Przebrała się miarka! Manatki w garść i wynocha!

DO PIERWSZEGO KWIETNIA wszyscy hippiesi mieli bezwarunkowo opuścić starą fortecę.

Tak brzmiało rządowe **ULTIMATUM.**

Nie było chyba człowieka w Danii, który uwierzyłby w marcu, że hippiesi potrafią ten rozkaz przekreślić.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Zdjęcia: Janusz Chodorowicz

U PRZYJACIÓŁ

Jewtuszenko

O POEZJI

Moskiewski tygodnik „Niediela" zamieścił wywiad z Eugeniuszem Jewtuszenką, uznanym i głośnym poetą średniego pokolenia. Oto kilka jego refleksji na temat własnej twórczości i roli poezji w dzisiejszym świecie:

■ Mówi się o dwóch metodach twórczych: jedna nakazuje pisać codziennie, druga tylko wtedy, kiedy nie można obejść się bez pisania. Ja, oczywiście, jestem zwolennikiem tej drugiej. Zamiast zasiadać codziennie do pisania, wolę zajmować się wioślarstwem, wziąć do ręki młotek, łopatę, obcęgi lub jakiekolwiek inne narzędzie. Kiedy natomiast odczuwam potrzebę pisania, mogę pracować nawet przez dwa miesiące po piętnaście godzin. Dużo np. pracowałem w roku 1974 — w ciągu dwóch miesięcy napisałem 85 utworów. Na pewno nie wszystkie były udane, ale czy ktokolwiek pisał tylko dobre wiersze?

■ Są poeci, którzy każdą strofę przepuszczają przez gęste sito samokontroli, twórczość innych można porównywać do górskiego potoku, którego nurt niesie i kamienie, i kawałki drzewa i coś jeszcze...

■ Nie prowadzę czegoś w rodzaju księgi mojej twórczości. Pisarz nie może nieustannie rozmyślać o swym powołaniu, bowiem w ten sposób popada w psychiczną izolację. Poza literaturą cenię wiele innych rzeczy i nie sprowadzam do niej wyłącznie sensu życia. Często spotykam się z różnymi ludźmi, jeżdżę po świecie.

■ Mojej twórczości, a także innych poetów mojego pokolenia, często przydawana jest etykietka „estradowości". Uważam, że talentu poety nie można mierzyć umiejętnością występowania przed szerokim audytorium, podobnie jak z umiejętności tej czynić zarzutu. Trybuną poety jest zresztą nie tylko sala stowarzyszenia twórczego, to przede wszystkim hale fabryczne, place budowy, wielkie sale koncertowe i pałace sportu. Nie elitarnie pojęta sztuka dla sztuki, lecz bezpośrednie wyjście do ludu, z którego wyrosła. Tak właśnie widzę drogę rozwoju socjalistycznej kultury. Z tym też wiąże się pojęcie służebnej roli poezji wobec narodu. Moim zdaniem, nie można tu przeciwstawiać wierszy politycznych, zaangażowanych — liryce. Poczucie obywatelskiej odpowiedzialności można mierzyć aktywną postawą wobec życia kraju i narodu, jego sukcesów i porażek.

Zapytany o stosunek do twórczości młodych poetów Jewtuszenko odpowiada.

■ Niejednokrotnie spotykam się z dość osobliwymi poglądami na temat młodej poezji, młodzieży i w ogóle młodości. Nieodłącznym atrybutem młodości są poszukiwania, ambitne porywy. To co nazywamy młodą poezją, jest często warsztatowo dojrzałe, ale jakby psychologicznie wyrosłe z obcej gleby. Istotą poezji jest nierozerwalność z życiem narodu i współczesnością, u niektórych zaś młodych kolegów można dostrzec jakby omijanie ostrych zakrętów czy ich zaokrąglanie. A więc z jednej strony beztroska bierność, z drugiej — fanfarowata aktywność.

■ Co do przyszłości poezji, to największe nadzieje wiążę z twórcą, który się jeszcze... nie pojawił. Nie jestem w tym poglądzie odosobniony.

■ Chciałbym też wyrazić swoje zastrzeżenie do pewnych uproszczeń myślowych: często traktuje się młodzież jako rodzaj nadbudowy wobec społeczeństwa, tak jakby można było traktować ją w oderwaniu od ludzi starszego i średniego pokolenia. A przecież nie sposób przeciwstawiać mądrości wieku dojrzałego zapałowi młodości. Najlepsze wiersze to takie, które najbardziej nawet wymagająca młodzież nie uzna za staroświeckie, a jednocześnie nie wydadzą się one infantylne ludziom dojrzałym.

— Poezja jest sprawą na wskroś narodową, chociażby dlatego, że wyrasta na gruncie ojczystego języka. Zachowując swą narodową odrębność, nie może się zasklepiać w kręgu spraw jednego narodu wzorem może tu być Majakowski, Eluard, Neruda.

FBI

OPERACJA „ODKURZACZ"

Po zakończeniu śledztwa w sprawie działalności organów wywiadowczych USA, specjalna komisja senacka opracowała 341-stronicowe sprawozdanie, z którego wynika, że „duża ilość lojalnych wobec prawa Amerykanów i w pełni legalnych organizacji było przedmiotem intensywnej inwigilacji i nadzoru".

Jak wskazują autorzy sprawozdania — czytamy w „New York Times" — winę za mglistą reglamentację działalności organów wywiadowczych USA ponoszą prezydenci, Kongres i kierownicy tych służb.

W aktach wewnętrznego wywiadu wojskowego figuruje ponad 100 tysięsy nazwisk Amerykanów, w tej liczbie generał, członek Izby Reprezentantów, śpiewaczka, lekarz chorób dziecięcych, duchowni itd. W sztabie Federalnego Biura Sledczego przechowuje się około 500 tysięcy teczek personalnych założonych na podstawie informacji FBI o różnych ludziach. Oprócz tego tysiące „prywatnych spraw" amerykańskich obywateli przechowuje się w licznych oddziałach biura w całym kraju. W okresie od 1955 do 1975 roku FBI przeprowadziło 740 tysięcy śledztw w „sprawach działalności wywrotowej" i 190 tysięcy „w sprawach działalności ekstremistycznej".

OPERACJA „CHAOS"

W toku przeprowadzonej w latach 1967—1973 operacji „Chaos", skierowanej przeciwko ludziom o nieprawomyślnych poglądach, CIA zgromadziła imienną kartotekę 300 tysięcy Amerykanów, a także obszerne akta 7.200 wyodrębnionych obywateli i ponad 100 tysięcy organizacji działających w USA.

W nieokreślonych ramach tego systemu masowy spis podejrzanych rósł coraz szybciej. W wyniku operacji „Odkurzacz" nazwiska osób podejrzanych wpisywano do kartotek bez jakichkolwiek wyraźnych wskazań na podstawy ich rejestracji. Od 1953 do 1973 roku agenci CIA otworzyli bezprawnie około ćwierć miliona listów. Na podstawie zaczerpniętych z nich informacji sporządzano odpowiednie zapisy i uruchomiono „elektroniczny informator zawierający około półtora miliona nazwisk". W wyniku ośmiu operacji, przeprowadzonych w latach 1940—1966, funkcjonariusze FBI otworzyli ponadto dalszych 130 tysięcy listów, jednakże wyniki tej operacji są na razie nie znane.

Agencja Bezpieczeństwa Narodowego kontrolowała wszystkie telegramy nadchodzące do USA jak również wysyłane z Ameryki, podsłuchiwała międzynarodowe rozmowy telefoniczne, których treść odnotowywano w odpowiednich teczkach osobowych.

AGENCI W RUCHU KOBIET

W wielu miastach agenci FBI przeniknęli do ruchu równouprawnienia kobiet. Agenci biorący udział w zebraniach „zbierali materiał o polityce ruchu, o jego przywódcach i poszczególnych członkach". W jednym ze sprawozdań agentury FBI wymienia się nazwiska wszystkich kobiet, biorących udział w zebraniu, w innym podkreśla się, że każda z zabierających głos kobiet mówiła o tym „co najwięcej je gnębi". W jeszcze innym sprawozdaniu wyciąga się wniosek, iż celem ruchu jest „wyzwolenie kobiety z pęt beznadziejnej wegetacji, jaką jest wyłączna rola gospodyni domowej i matki". Jednakże, jak podpodkreśla się w sprawozdaniu komisji senackiej, mimo tak apolitycznego charakteru ruchu kobiet agent „uważał za konieczne dalszą inwigilację".

Służby wywiadowcze, głównie FBI, wychodziły na spotkanie żądaniom wymieniających się wzajemnie amerykańskich rządów i skwapliwie śledziły ludzi według wskazówek prezydentów. Roosevelt zażądał od FBI włączenia do spisu osób śledzonych nazwiska ludzi wysyłanych do Białego Domu telegramy z krytyką wojskowej polityki rządu, a także krytyków zagranicznej polityki Waszyngtonu.

Trumanowi FBI dostarczyło informacji o pewnym byłym współpracowniku Roosevelta, który rzekomo próbował wykorzystywać swoje wpływy przy powoływaniu różnych osób na państwowe stanowiska. Prezydent Eisenhower otrzymywał sprawozdania o politycznej działalności Bernarda Barucha, Eleonory Roosevelt, członku Sądu Najwyższego, Williamie Douglasie.

Swego czasu FBI przekazało ówczesnemu ministrowi sprawiedliwości, Robertowi Kennedy'emu, sprawozdanie z informacją otrzymaną przy pomocy urządzeń podsłuchowych zainstalowanych w tajemnicy w pokoju pewnego hotelu w Nowym Jorku, w którym przewodniczący komisji do spraw gospodarki rolnej, członek Izby Reprezentantów, Hovard Couly, odbywał spotkania z oficjalnymi osobistościami zagranicznymi.

NACISK NA ŚRODKI INFORMACJI

W wielu wypadkach inwigilacja tylko bardzo formalnie była usprawiedliwiana względami bezpieczeństwa narodowego czy też wewnętrznego. W toku śledztwa komisja senacka odnalazła np. protokół z pewnego zebrania w FBI, poświęconego Martinowi L. Kingowi, na którym otwarcie rozważano „drogi neutralizacji Kinga jako efektywnego przywódcy murzyńskiego".

W sprawozdaniu zamieszczono dowody praktyki FBI szerokiego wykorzystywania środków masowego przekazu dla napaści na takich działaczy, jak M. L. King, a także na grupy osób i poszczególne osoby pozytywnie ustosunkowane do tzw. „nowych lewicowców".

Pracownicy FBI wchodzili w kontakt z dziennikarzami, głównie z reporterami z dużego dziennika, i proponowali im przesłuchania zapisów z taśm magnetycznych, których treść, w mniemaniu FBI, powinna postawić Kinga w „niezręcznej sytuacji". FBI podsunęło pewnemu nieetatowemu dziennikarzowi fotografie mieszkania, w którym rzekomo zbierała się pewna radykalna grupa działaczy. Były na nich wyobrażone „strasznie niechlujne, zanieczyszczone pokoje z wywieszonymi na ścianach nieprzyzwoitymi obrazkami i hasłami politycznymi".

Wykorzystywanie przez FBI środków masowego przekazu było częścią tzw. kontrwywiadowczego programu, ukierunkowanego na „rozłam" lub „neutralizację" poszczególnych ludzi lub całych grup ludzi, stwarzających zdaniem Biura, zagrożenie bezpieczeństwa kraju.

W raporcie komisji senackiej wskazuje się, że FBI dążyło także do wykorzystywania środków masowej propagandy w celu rozpowszechniania własnych poglądów w takich kwestiach, jak polityka zagraniczna i moralność.

W sprawozdaniu mówi się, że wydział rejestracji przestępstw FBI utrzymywał „tajne kontakty" ze środkami masowego przekazu w celu osiągnięcia dwóch najważniejszych celów: „przekazywania środkom masowej propagandy szkalujących informacji z intencją szerokiego dyskryminowania działalności i idei określonych grup ludzi, oraz rozpowszechniania niekorzystnych artykułów i wiadomości o kontaktach, obliczu moralnym i działalności publicznej tych ludzi z myślą zahamowania ich działalności".

„BUNTOWNICY", „AGITATORZY"...

W czasie przesłuchania w senackiej komisji, były szef wydziału rejestracji, Tom Bishop, zeznał, że przechowywał spis „przyjaciół prasowych" FBI w swoim biurku. Powiedział także, że Biuro z reguły przekazywało dziennikarzom „informacje o działalności publicznej", ale pojęcie to mogło zawierać w sobie prawie wszystko, co przechowywano w dossier osoby, która stała się obiektem śledzenia. Zgodnie z danymi sprawozdania, jednym z takich obiektów był właśnie dr King, przywódca ruchu o prawa obywatelskie Murzynów.

Jak ustaliła komisja, „przez długie dziesięciolecia, poczynając od lat trzydziestych, rozmiary śledzenia obywateli wewnątrz kraju zwiększały się nieustannie. Zezwalano na to bardziej ze względów politycznych i socjalnych niż na podstawie norm reglamentujących działalność organów państwowych". Jednych inwigilowano w związku z ich przynależnością do „organizacji prawicowych", innych — podejrzewając o „sympatyzowanie z linią ruchów rewolucyjnych", jeszcze innych uważano za „buntowników", „agitatorów" lub „murzyńskich nacjonalistów".

Komisja ustaliła, iż szpiegowskie operacje wewnątrz kraju, prowadzone przede wszystkim przez FBI, CIA, wywiad wojskowy i Urząd do spraw dochodów wewnętrznych (kieruje sprawami podatkowymi), przybrały „nadzwyczajne rozmiary" i że instytucje te „systematycznie zbierały informacje o prywatnym życiu i politycznej działalności ludzi, w żaden sposób nie naruszając interesów rządu".

JERZY CZECH

■ PODZIEMNE EKSPLOZJE DLA POKOJOWYCH CELÓW

■ POTĘPIENIE POLITYKI IZRAELA

W układzie radziecko-amerykańskim na temat ograniczenia podziemnych doświadczeń z bronią jądrową, który podpisany został w Moskwie w lipcu 1974 roku, artykuł III głosi:

„Postanowienia niniejszego układu nie rozciągają się na podziemne wybuchy jądrowe, przeprowadzane przez strony w celach pokojowych. Podziemne wybuchy jądrowe w celach pokojowych będzie regulowało porozumienie, co do którego strony przeprowadzą rozmowy i które zostanie zawarte możliwie jak najszybciej".

Takie porozumienie podpisane zostało 28 maja. **Równocześnie w Moskwie i Waszyngtonie złożone zostały podpisy pod układem, którego celem jest wykorzystywanie eksplozji pod ziemią wyłącznie do celów pokojowych.** Składający się z dziewięciu artykułów nowy układ zakazuje pojedyńczych wybuchów nuklearnych o mocy powyżej 150 kiloton oraz wybuchów grupowych, które tę moc przekraczałyby. Zapowiada — w celu przestrzegania postanowień — wykorzystanie narodowych środków kontroli oraz powołanie wspólnej komisji konsultacyjnej. Układ zobowiązuje obie strony do nieprzeprowadzania eksplozji na terytorium innego państwa i wyklucza możliwość pomocy w przygotowaniu takich wybuchów przez inne państwa, jeśli nie wyrażą one zgody na dokonywanie obserwacji na swym terytorium.

Obie strony ponadto zadeklarowały gotowość rozwijania współpracy **„na zasadzie obopólnej korzyści, równości i wzajemności"** w dziedzinie przeprowadzania podziemnych eksplozji nuklearnych w celach pokojowych. O rezultatach tej współpracy obie strony będą informowały Międzynarodową Agencję Energii Atomowej.

Układ obowiązywać będzie przez pięć lat, ale może być automatycznie przedłużony, jeśli żadna ze stron nie powiadomi drugiej o ustaniu jego mocy.

Układ podpisany został w imieniu ZSRR przez Leonida Breżniewa i w imieniu Stanów Zjednoczonych przez Geralda Forda.

Na czym polega znaczenie tego nowego porozumienia radziecko-amerykańskiego?

Jest ono kolejnym krokiem na drodze do powstrzymania wzrostu zbrojeń i osiągnięcia celu, jakim jest całkowite wyeliminowanie broni jądrowej. Stwarza jeszcze jedną zaporę dla wyścigu zbrojeń i to na płaszczyźnie bardzo niebezpiecznej i bardzo kosztownej. Zmniejsza więc niebezpieczeństwo wojny, a dalsze doświadczenia podziemne skierowuje na tory niemilitarne.

Ale polityczne znaczenie układu polega również na tym, że **stanowi on dalszy krok w rozwoju stosunków między dwoma najpotężniejszymi państwami, które wywierają ogromny wpływ na procesy odprężeniowe w świecie.**

Składając podpis pod nowym układem sekretarz generalny KC KPZR podkreślił, iż dokonano pożytecznego dzieła, które przyniesie korzyści także innym krajom. Zapewnił też, że Związek Radziecki we współpracy z innymi krajami gotów jest energicznie i szerokim frontem posuwać się naprzód do rozbrojenia. Leonid Breżniew przypomniał, że XXV Zjazd KPZR wysunął program konkretnych działań, mających na celu położenie kresu nasilaniu zbrojeń i przejście do fizycznej redukcji nagromadzonych już zapasów. Spośród czekających na pomyślny finał rozwiązań sekretarz generalny wymienił nowe długoterminowe porozumienie między ZSRR i USA w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych.

Również prez. Ford zaliczył nowy układ do kompleksu porozumień, prowadzących do tego, aby, jak się wyraził, „świat stał się bardziej pokojowy".

☆ ★ ☆

Za drugie wydarzenie tygodnia uznać z pewnością trzeba **oświadczenie Rady Bezpieczeństwa na temat sytuacji, jaką stworzył Izrael na okupowanych przez siebie ziemiach arabskich.**

Jak wiadomo, ludność arabska, zamieszkująca te obszary, jest wciąż szykanowana i dyskryminowana. Równocześnie Tel-Awiw prowadzi tam politykę osadnictwa izrealskiego.

Rada Bezpieczeństwa wezwała Izrael do przestrzegania konwencji o ochronie osób cywilnych i wojskowych podczas wojny i orzekła, że **posunięcia rządu izraelskiego stanowią poważną przeszkodę na drodze ustanowienia pokoju na Bliskim Wschodzie.**

Oświadczenie to, ogłoszone przez przewodniczącego Rady, ma ważkie znaczenie polityczne — potwierdza jej stanowisko wobec konfliktu bliskowschodniego i wskazuje na stronę, która rozwiązanie tego konfliktu utrudnia.

Przypomnijmy, że dziś w rejonie bliskowschodnim występują trzy konieczności: wycofania się Izraela z zagarniętych przemocą ziem, uznania praw narodu palestyńskiego do własnej państwowości i stworzenia systemu gwarancji dla wszystkich państw tego rejonu.

W. SŁAWSKI

SPORT

REZYGNACJA

24 lutego 1976 roku w 8 numerze tygodnika „Sportowiec" Jerzy Górzański napisał następujący passus:

„Można jedynie zadać pytanie: kiedy zostaną wciągnięci w krajowy kołowrót piłkarski? Posłużę się przykładem muzyczno-tanecznym. Andrzej Rosiewicz, gdy śpiewa i tańczy, jest fajny, bo występuje jako osoba, indywidualność, ale gdy zaczyna brnąć przez piaski z „Hagawem", fruwać w powietrzu i odstawiać operetkowego kolonialistę, to jest znacznie gorzej. Z drużyną mającą ambicję sprostania najlepszym, rozwijającą się, posiadającą własny styl, może być podobnie. Chodzi o to, żeby nikt nie wpasował ją w określony scenariusz afer, szwindlów, rozrywkowego futbolu, całej tej typowości i nijakości, od których nasz futbol wciąż jeszcze nie jest wolny".

Z poprzedniej charakterystyki drużyny, o którą chodziło Jerzemu Gorzańskiemu, wyraźnie wynikało, że ma na myśli jedenastkę piłkarską RTS Widzew. Do niedawna była to drużyna, o której mówiło się, że jest rewelacją kończącego się sezonu, że ma szansę, aby wziąć udział w walce o puchar UEFA. I oto nagle coś się w RTS Widzew odmieniło. Już od trzech kolejnych spotkań nie jest to ta sama drużyna. Kryzys może się zdarzyć w każdym zespole. Niektórzy twierdzą, że Widzewowi zabrakło oddechu na finiszu, że w początkowym okresie grał bez wiary w powodzenie, bez należytej oceny własnych możliwości, a miał je znacznie większe niż by o tym można było przypuszczać.

Ubiegła niedziela przyniosła jednak rażącą porażkę Widzewa: 1 do 5 w Sosnowcu. I to z drużyną Zagłębia, która do tej pory plasowała się w dolnych rejonach ligowej tabeli. Widzewiacy mecz w Sosnowcu przegrali w złym stylu — jeśli tak można powiedzieć. Demonstrowali na boisku stan pełnej rezygnacji, jakby już im na niczym nie zależało. I na dodatek opublikowana w sobotę w „Expressie Ilustrowanym" i potwierdzona w poniedziałek przez „Dziennik Popularny" wiadomość o złożeniu rezygnacji przez trenera Leszka Jezierskiego. Z jakich powodów? Co się za tym kryje?

„Express Ilustrowany" snuje przypuszczenia:

„Przecież do tej pory Widzew uchodził za wzorcowy przykład współpracy na osi działacze — trener — zawodnicy. Czyżby w harmonijnie dotychczas współżyjącym i współdziałającym kolektywie coś się popsuło?"

Czyżby Jerzy Górzański już w lutym 1976 roku przewidział konsekwencje, w jakie nieuchronnie musi wejść ambitny zespół Widzewa?

Zaskakujące rzeczy dzieją się nie tylko na boisku, na którym gra jedenastka Widzewa. Oto Polonia Bytom, o której powszechnie sądzi się, że musi powrócić do drugiej ligi, budzi się nagle i remisuje ze Stalą Mielec na jej własnym boisku. Mieleckiej Stali w ligowej punktacji wprawdzie to nie zaszkodziło, ale pretendenta do tytułu mistrza Polski postawiło w nie najlepszym świetle. Ale mieleckiej Stali już na walce nie zależy. Różnica 4 punktów w ligowej tabeli do GKS Tychy i krakowskiej Wisły zapewnia jej prymat w lidze, a do końca sezonu pozostał już tylko jeden mecz.

Niespodziankę sprawiła też Wisła Kraków, która pod koniec sezonu gra coraz lepiej i która na własnym boisku pokonała poznańskiego Lecha dawno nie notowanym stosunkiem bramek: 8 do 0. Niespodzianki natomiast nie sprawili „wybrańcy Kazimierza Górskiego", czyli reprezentanci Polski. Przegrali z reprezentacją Irlandii, pozwalając sobie strzelić dwie bramki. W ten sposób polscy piłkarze, przygotowujący się do obrony olimpijskiego złotego medalu, znaleźli się w punkcie zerowym czyli na samym początku.

To, co działo się przed tygodniem na boisku w Poznaniu było widowiskiem żałosnym. W pierwszej połowie był to mecz na poziomie naszej trzeciej ligi. W drugiej — przypominał „ligową młóckę". I wcale to nie był przypadek, bowiem tak gra reprezentacja, jak gra liga. Cudów nie ma.

Dawno nie widziałam międzypaństwowego meczu, który odbywałby się przy tak nielicznie wypełnionej widowni. To też o czymś świadczy. A podejrzewam, że na mecz Polska — Irlandia przyszli przede wszystkim wielbiciele Romana Jakóbczaka, którzy uparcie skandowali: „Jakub! Jakub!", a sprawozdawca sportowy Polskiego Radia — widać też poznański rodak — uznał w drugiej połowie, że wejście na boisko Romana Jakóbczaka wprowadziło porządek w polskim zespole. Nawet gdyby mu uwierzyć, to jeden Jakóbczak wiosny nie czyni, a i on nie spisywał się najlepiej.

Ot i wszystko. Pozostała smutna prawda. Nie mamy piłkarskiej reprezentacji. Pozostały wspomnienia z Mistrzostw Świata i rezygnacja. Z ligowego owsa nawet Kazimierz Górski nie zrobi ryżu. Tę smutną prawdę potwierdza w jakiejś części fakt, że do gościnnego spotkania z reprezentacją Ghany sięgnięto po rezerwy do II i okręgowej ligi. Może nowy rzut piłkarski przyniesie zapowiedź nadziei. Ale do czasu, nim znów nie wejdą w pierwszoligowe rozgrywki, gdzie częściej od zawodników grają ambicje, układy i zakłady. Ale na podsumowanie sezonu czas dopiero przyjdzie.

BOGDA MADEJ

SPRAWA PATRYCJI HEARST

Porwano ją 4 lutego 1974 roku. Poszukiwało jej przeszło 3 tys. agentów FBI i setki policjantów od Alaski po Nowy Jork, a nawet w Hongkongu. Początkowo szukano jej jako ofiary porwania, później jako członka SLA — Wyzwoleńczej Armii Symbiozy i uczestnika kilku napadów. Przybrała sobie pseudonim „Tania".

ANDRZEJ BLAJER

WINNA czy OFIARA?

1.

Wydarzenia, które nastąpiły w połowie maja 1974 roku zadecydowały zarówno o losach SLA — Wyzwoleńczej Armii Symbiozy jak i pociągnęły a sobą niezwykle poważne konsekwencje dla Patrycji Hearst. A wszystko zaczęło się od fatalnego wyjazdu córki milionera wraz z małżeństwem Harisów do Los Angeles.

16 maja 1974 r., około 16.30, Harrisowie weszli do sklepu sportowego „Mel's Sporting Goods Store" w dzielnicy Inglewood. Zakupiwszy kilka drobiazgów za 31,5 dolara zamierzali już opuścić sklep, gdy Bill Harris wpadł na pomysł skradzenia kilku par skarpetek. Nie miał jednak szczęścia. Kradzież została zauważona i obsługa magazynu usiłowała go zatrzymać. Harrisom udało się jednak wybiec na ulicę i wskoczyć do zaparkowanego przy krawężniku samochodu. Gdy pracownicy pobiegli za nimi, powietrze przeszyły serie z pistoletu maszynowego. Strzelała młoda dziewczyna siedząca za kierownicą „Volkswagena", do którego wsiedli Harrisowie, a była nią właśnie Partrycja Hearst. Szczęśliwym trafem nikt nie został ranny, lecz wszystkim trojgu udało się uciec korzystając z ogólnego zamieszania.

Cała ta sprawa, choć mogła wydawać się banalną, miała jednak dla córki milionera z Kalifornii fatalne następstwa. Swym udziałem w akcji przed sklepem sportowym obaliła zarazem własne alibi, że była tylko ofiarą porwania, którą więziono i terroryzowano. Wcale się zresztą nie kryła z tym, że działa z własnej woli, szczegółowo opowiadając o tym, co się stało wobec Toma Matthewsa, znajomego Harrisów, który później to co usłyszał zeznał przed policją. Stało się więc dla wszystkich jasne, iż Patty Hearst, która mogła w momencie owego epizodu przed sklepem wyrwać się z rąk porywaczy, nie tylko tego nie uczyniła, ale przeciwnie — dała dowód, że podobnie jak oni stała się członkiem SLA. Stało się to zresztą później koronnym argumentem prokuratora na rzecz uznania jej za winną zarzucanych przestępstw. W tej sytuacji 20 maja policja i FBI wysłała za Patty i Harrisami list gończy, oskarżając w nim całą trójkę o rabunek, uprowadzenie i podjęcie próby morderstwa.

2.

Donald De Freeze czując, iż jest coraz bardziej osaczony przez policję, przybył także do Los Angeles, aby poszukać bezpiecznej kryjówki dla swej organizacji. Wybór padł na częściowo zrujnowany dom jednorodzinny położony przy 54 ulicy w dzielnicy zamieszkałej przez Murzynów.

17 maja 1974 r. De Freeze wraz z czterema członkami grupy postanowił zatrzymać się tam na noc. Właścicielka domu zgodziła się ich przyjąć za opłatą 100 dolarów. Traf chciał, że następnego dnia odwiedziła ją matka. Cała grupa wzbudziła jej podejrzenia, tym bardziej że u jednej z dziewczyn dostrzegła pas z nabojami. Nie tracąc chwili czasu zaalarmowała policję. Natychmiast ogłoszono stan ostrego pogotowia i po kilkunastu minutach dom otoczyły silne oddziały policji wyposażone w ciężką broń. Wyloty ulic w najbliższej okolicy zostały całkowicie zablokowane. Na wezwanie agenta FBI, skierowane do znajdujących się w budynku członków SLA, by poddali się, odpowiedzieli oni ogniem. Rozgorzała walka, której przebieg śledziły na ekranach telewizorów miliony Amerykanów. Gwałtownej wymianie strzałów towarzyszyły wybuchy pocisków z gazem łzawiącym. Mimo to terroryści nadal się bronili, okazało się bowiem, że posiadali maski przeciwgazowe.

Policja i oddziały wojska, chcąc ostatecznie stłumić opór, użyły granatów zapalających. W kilka chwil później cały dom stanął w płomieniach. Daremnie oczekiwano poddania się członków Wyzwoleńczej Armii Symbiozy. Jeszcze ponad godzinę trwała mordercza wymiana strzałów, po czym zaległa martwa cisza. Co jakiś czas słychać było tylko wybuchy amunicji dochodzące z wnętrza płonącego budynku. Do akcji przystąpiły teraz jednostki straży pożarnej, które wkrótce ugasiły pożar. Tylnymi drzwiami wkroczyli do domu agenci FBI, którzy znaleźli wśród zgliszcz sześć zwęglonych ciał.

Identyfikacja zwłok była niezwykle utrudniona. Były one niemal całkowicie spalone, tak, że było wręcz niemożliwe rozpoznanie ich. Po żmudnych zabiegach udało się to wreszcie w pięciu przypadkach, w szóstym zaś wiedziano jedynie tyle, że chodziło o jeszcze jedną białą kobietę. Według ustaleń policji i FBI w walce, jaka rozegrała się przy 54 ulicy zginęli: szef SLA — De Freeze, Nancy Perry Ling, Patrycja Soltysik, Angela Atwood, William Wolfe. Oznaczało to praktycznie koniec organizacji, która pozbawiona przywództwa nie była w stanie kontynuować swej działalności. Była to pierwsza i ostatnia bitwa Wyzwoleńczej Armii Symbiozy.

3.

Początkowo sądzono, że nie rozpoznane zwłoki szóstej ofiary ,dramatu są zwłokami Patrycji Hearst. (W tym czasie władze nie wiedziały jeszcze, że to ona strzelała przed sklepem sportowym w Los Angeles). Było to zresztą bardzo prawdopodobne, dotąd bowiem zawsze przebywała razem z członkami grupy, którzy teraz zginęli. Ale oto na początku czerwca do rozgłośni w Los Angeles znów nadeszła przesyłka zawierająca taśmę z nagraniem. Gdy zaczęto ją przesłuchiwać, okazało się, że na taśmie zarejestrowany jest głos Patrycji Hearst.

„Poniosłam śmierć w płomieniach na 54 ulicy — mówiła — **ale ponownie odrodziłam się z popiołów. Moi towarzysze nie zginęli na próżno. Jestem zdecydowana kontynuować ich walkę. Nigdy nie ulęknę się śmierci".**

Potępiła dalej postawę swoich rodziców, oświadczyła, że jej „rewolucyjnym ojcem" jest Malcolm X, a „rewolucyjną matką" — Assata Shakur (pseudonim Joanny Chesimard, głośnego leadera „Black Liberation Army", oczekującej procesu za zabójstwo dwóch policjantów w Nowym Jorku). Przy okazji Patty ujawniła przyczynę swego „nawrócenia": okazało się bowiem, iż zakochała się bez pamięci w Williamie Wolfe, który poniósł śmierć w bitwie na 54 ulicy. Stwierdziła, że jest to dla niej największy cios, gdyż nigdy dotąd niekochała nikogo tak bardzo jak właśnie Williama.

Od tego momentu wiadomości od Patty przestały nadchodzić, ani do rozgłośni ani nigdzie indziej nie nadeszła już jakakolwiek taśma z nagraniem głosu Patrycji. Córka milionera wraz z małżeństwem Harrisów, jakby zapadła się pod ziemię. Poszukiwania prowadzone przez policję i FBI mimo, iż były bardzo intensywne, nie dały żadnych rezultatów. Ślad urwał się całkowicie.

4.

Tymczasem do akcji przystąpił aparat sprawiedliwości i to na wielu frontach. Przede wszystkim prokuratury w Los Angeles i San Francisko wniosły 22 maja 1974 r. oskarżenie skierowane przeciwko pannie Hearst i Harrisom, w którym zarzucano jej — popełnienie 19 przestępstw, a im — 18-tu. Sprawa przedstawiała się bardzo poważnie, gdyż zarzuty podniesione w akcie oskarżenia zupełnie wystarczały, aby skazać ją na karę dożywotniego więzienia. Patty jednak była wciąż na wolności.

Poszukiwała jej zresztą nie tylko policja, ale w szczególności rodzice. Wszystkie wysiłki okazywały się być daremne. Nie zdołano uchwycić żadnych śladów.

Po ucieczce sprzed sklepu sportowego w Los Angeles, a zwłaszcza po śmierci przywódców SLA, Patrycja wraz z Harrisami schroniła się na farmie Jacka Scotta, nauczyciela gimnastyki z Pensylwanii, u którego spędzili oni lato 1974 roku. Następnie jesienią powrócili do San Francisco, aby „kontynuować walkę". Właśnie wtedy przyłączyła się do nich jeszcze jedna członkini SLA, Japonka — Wendy Yoshimura.

Policja jednak nie próżnowała, od momentu porwania Patty przez SLA agenci inwigilowali i przebadali blisko 30 tysięcy Amerykanów w całych Stanach od wschodniego do zachodniego wybrzeża. Tysiące śladów i informacji, jakie uzyskano w efekcie, okazywało się mylnych, pozornych, nie prowadzących do nikąd. Ale wreszcie w początkach 1975 roku nastąpił punkt zwrotny, oto bowiem pewnego dnia na komendę policji w Scranton (Pensylwania) zgłosił się młody człowiek nazwiskiem Walter Scott, który oświadczył, że zna kryjówkę Patrycji i Harrisów. Z jego relacji wynikało, że jego młodszy brat, Jack Scott, wynajął dla nich dom w pobliskich górach Pocono. Gdy agenci policji zidentyfikowali ów domek, położony w cichej miejscowości South Canaan, znaleźli tam niezwykle wartościowe i konkretne ślady. Okazało się, że ludzie SLA nie mieszkają tam już od kilku tygodni, ale specjalnie wytresowane psy wykryły zapach „Tani". Poza tym znaleziono tam odciski palców Harrisów oraz Wendy Yoshimura.

Początkowo zdobyte ślady nie na wiele się zdały. Niebawem jednak policji udało się zebrać informacje odnośnie ludzi, którzy odwiedzali byłego przyjaciela Wendy — Williama Brandta — w więzieniu Solebad. Odbywał on karę za udział w zamachach bombowych na uniwersytecie w Berkeley w roku 1972. W sprawę tych zamachów wmieszana była także Wendy Yoshimura.

Na liście osób, które odwiedzały Brandta, znalazła się także pewna dziewczyna nazwiskiem Kathleen Soliah z San Francisco. Agenci FBI zaczęli ją inwigilować jak również jej siostrę Josephine i brata Stevena. Idąc po śladach rodzeństwa Soliah agenci sprawdzali liczne adresy, między innymi mieszkanie przy Morse Street 625, wynajęte przez Stevena dla dwóch kobiet oraz lokal przy Precita Street 288, zajęte od niedawna przez młode małżeństwo. Zadecydowano więc, że należy oba domy pilnie obserwować. **17 września 1975 roku** po południu agenci zauważyli, że z domu przy Precita Street wyszedł człowiek, który wsiadł do ciężarówki i odjechał. Samochód przejechał jednak w zbyt dużej odległości od agenta, by był on w stanie rozpoznać, czy człowiekiem tym był Harris. Ale po kilku godzinach ten sam człowiek wszedł do pralni z workiem brudnej bielizny. Drugi z agentów FBI w stroju hippisa wszedł do tej samej pralni, przyjrzał się owemu człowiekowi i wymienił z nim kilka słów. Teraz wiedziano już na pewno. To był Bill Harris.

5.

18 września 1975 r. rano sąsiedzi Harrisów mogli dostrzec kilka samochodów, które zatrzymały się na ulicy przed domem. Siedzieli w nich ludzie Charlesa Batesa, szefa FBI w San Francisco. Około południa Harrisowie wyszli z domu i udali się na codzienny spacer. Wrócili około 13,25. I wtedy przystąpili do akcji agenci Batesa. Po zaaresztowaniu Harrisów policjanci wpadli do ich mieszkania w przekonaniu, że znajdą tam Patty. Czekało ich jednak rozczarowanie. Patrycji tam nie było.

Postanowiono udać się natychmiast pod drugi adres, na Morse Street. Była 14,30, gdy inspektor policji, Tim Lasey i agent FBI, Tom Padden, zapukali do drzwi mieszkania na piętrze...

Zaraz po aresztowaniu, Patty Hearst przewieziono do budynku sądu okręgowego, gdzie miało miejsce pierwsze przesłuchanie. Kilkanaście godzin później nastąpiło z kolei pierwsze, od momentu porwania, spotkanie Patty z rodzicami. Ci ostatni gotowi byli zapłacić kaucję w wysokości 1 miliona dolarów w zamian za wypuszczenie Patrycji na wolną stopę. Prokurator okręgowy Browning nie wyraził jednakże na to zgody, twierdząc, że sąd nie może być pewien czy kaucja stanowiłaby wystarczające zabezpieczenie, bowiem nie wiadomo czy oskarżona jest wystarczająco silnie związana uczuciowo ze swoją najbliższą rodziną, czy poręczenie rodziców wystarczy, by nie próbowała ucieczki.

6.

Śledztwo w sprawie Patrycji Hearst trwało cztery miesiące. Zebrano ogromne ilości materiałów dowodowych i wreszcie z końcem stycznia bieżącego roku rozpoczął się proces, najdziwniejszy chyba proces w historii kryminalistyki. Oskarżoną była ofiara porwania, która następnie, zaakceptowawszy poglądy porywaczy, dobrowolnie do nich przystała popełniając szereg poważnych przestępstw, jak próba zabójstwa, napad na bank z bronią w ręku, nielegalne posiadanie broni, uprowadzenia itd. Lista zarzucanych jej czynów przestępczych obejmowała, jak już wspomniano 19 pozycji, kara, jaka jej za nie groziła — to wieloletnie więzienie. Toteż zainteresowanie procesem było ogromne i daleko wykraczało poza terytorium USA.

Obrońcą Patrycji Hearst był adwokat Lee Bailey, cieszący się sławą najlepszego specjalisty od obrony w sprawach kryminalnych. Honorarium, jakie miał za to otrzymać, było również niebagatelne — milion dolarów. Oskarżycielem był wspomniany już prokurator Browning, zaś rozprawie przewodniczył sędzia Oliver Carter.

Dwa miesiące toczył się proces, w czasie którego szczegółowo rozważano wszystkie dziwne zdarzenia, jakie miały miejsce od chwili porwania do aresztowania Patrycji Hearst. Początkowo silna wydawałoby się pozycja obrony nagle zaczęła słabnąć. Powód? Postawa Patrycji na procesie. Nie tylko przyznała się do zarzucanych jej przestępstw, ale podtrzymała także swe stanowisko z okresu, kiedy przebywała jeszcze na wolności, iż członkowie SLA nie stosowali wobec niej przymusu psychicznego, że nie była poddawana „praniu mózgu" oraz że przystąpiła do organizacji i brała udział w jej akcjach całkowicie dobrowolnie, będąc przekonaną o słuszności takiego postępowania. Wytrącała więc tym samym wszystkie ważkie atuty z ręki obrony, stawiając się zarazem w niezwykle trudnej sytuacji. Czy robiła to świadomie uważając, że nie powinna uchylać się od odpowiedzialności za swoje czyny, czy też mimo wszystko miała nadzieję, że nie zapadnie wyrok skazujący?

7.

Nadszedł wreszcie dzień, w którym ława przysięgłych miała rozstrzygnąć o winie Patty. Dochodziła 15,40, gdy drzwi sali 1900 sądu okręgowego w San Francisko uchyliły się z lekka i urzędnik sądowy oznajmił że ława przysięgłych uzgodniła wyrok. Kilka minut później, gdy wszyscy zajęli swe miejsca na sali rozpraw przewodniczący ławy, emerytowany pułkownik lotnictwa William Wright, wręczył sędziemu zapieczętowaną białą kopertę.

Sędzia Oliver Carter otworzył ją, przeczytał treść pisma, po czym bez słowa wręczył ją sekretarzowi. W chwilę później na sali zabrzmiał głos przewodniczącego ławy przysięgłych:

„My, sędziowie przysięgli, uznajemy Patrycję Campbell Hearst winną".

8.

A więc jednak uznano ją winną. Za popełnione przestępstwa grozi jej łączna kara 35 lat pozbawienia wolności. Czy rzeczywiście Patty otrzyma tak wysoki wyrok? Jego ogłoszenie miało nastąpić **13 kwietnia 1976 r.,** jednakże sędzia Oliver Carter odroczył wydanie wyroku na okres trzech miesięcy, bowiem Patrycja Hearst ma zostać jeszcze poddana dodatkowym badaniom psychiatrycznym, które miałyby rozstrzygnąć, czy była w pełni władz umysłowych podczas dokonywania czynów objętych aktem oskarżenia czy też nie.

Wyniki tych badań w żadnym razie nie powinny już wpłynąć na werdykt co do winy, mają raczej na celu spowodowanie orzeczenia możliwie najniższego wymiaru kary. Tym bardziej, iż Patrycja pozostała jedyną żywą uczestniczką napadu na bank Hibernia oraz że jej zeznań nie można skonfrontować z zeznaniami tych, którzy wzięli udział w porwaniu, a później więzili ją i wraz z nią dokonali owego napadu. Tak więc prawdę o tym, co działo się między 22 lutego a 18 maja 1974 roku zna tylko sama Patrycja, lecz czy ją ujawniła? Poza tym, co spowodowało tak nagłą i radykalną metamorfozę poglądów Patrycji, jeśli odrzucić przypuszczenia o wywieraniu presji fizycznej i psychicznej? Dlaczego nie opuściła szeregów SLA choć wielokrotnie, bez ryzyka, mogła to uczynić? Czy obecnie znów powróci do dawnych poglądów?

„MONTREAL 76"

Zbliżające się Igrzyska Olimpijskie w Montrealu spowodowały, że na rynku księgarskim pojawiło się wiele pozycji na temat polskiego sportu oraz historii naszego udziału w poprzednich olimpiadach. Andrzej Jucewicz poszedł w innym kierunku i zamiast dostarczyć na księgarski rynek kolejny przegląd polskiego olimpijskiego dorobku, napisał niewielką książeczkę, która wprowadza czytelnika w sprawy kraju, gdzie odbędzie się XXI Olimpiada, prezentuje narodziny decyzji, aby XXI Olimpiada odbyła się w Montrealu oraz przedstawia miejscowości i obiekty sportowe, na których toczyć się będzie walka o 560 medali.

„Montreal 76" Andrzeja Jucewicza to po prostu przewodnik po olimpijskiej Kanadzie, z którego mogą skorzystać przede wszystkim ci, którzy do Kanady nie pojadą, a będą uczestniczyć w igrzyskach tylko za pośrednictwem telewizji. Trzeba tu pochwalić wydawnictwo Sport i Turystyka za operatywność i wypuszczenie na księgarski rynek tego — w gruncie rzeczy — folderu dużo wcześniej, na długo jeszcze przed samymi igrzyskami.

Książeczka choć niewielka, za to interesująca i warta nie tylko uważnej lektury, ale i umieszczenia jej w biblioteczce kibica.

Andrzej Jucewicz — „Montreal 76", Sport i Turystyka, Warszawa 1976, str. 89, cena: zł 16.-

„IGRZYSKA STARE JAK ŚWIAT"

Posypało się ostatnio sporo książek o tematyce sportowej. I dobrze, gdyż kibicom nigdy za wiele tego typu publikacji. Na szczególną uwagę czytelników zasługuje przede wszystkich książka „Igrzyska stare jak świat", która ukazała się w serii „Biblioteczka olimpijska" wydawnictwa Sport i Turystyka. Polecamy ją choćby już z tego względu, że stanowi swego rodzaju kompedium wiedzy o różnorodnych dyscyplinach sportowych, rozgrywanych na olimpiadach. Książka nie ogranicza się jednak tylko do spraw olimpijskich, znajdziemy w niej bowiem mnóstwo interesujących wiadomości, dotyczących zarówno początków poszczególnych dyscyplin sportowych, początków sięgających nierzadko czasów najdawniejszych, jak i ich dalszego rozwoju.

Olimpiada w Montrealu już za sześć tygodni, warto więc sięgnąć po „Igrzyska stare jak świat". Warto, bo lektura tej książki pomoże nam uświadomić sobie, jaką ogromną ewolucję przeszedł sport, jak bardzo dzisiejsze zmagania zawodników, obwarowane wielorakimi przepisami i regulaminami, różnią się od początków sportu. Choć i wtedy rodziły się przecież pierwsze zasady sportowych pojedynków i gier. Ale po te wiadomości odsyłamy już do książki.

Innym walorem „Igrzysk starych jak świat" są te fragmenty książki, które omawiają dorobek polskich sportowców olimpijczyków, poczawszy od pierwszych, jakże skromnych występów, aż po czasy dzisiejsze. Książka jeszcze raz uświadamia nam jak wielki skok ilościowy i jakościowy dokonał się w polskim sporcie w trzydziestoleciu PRL. Bo przecież jak byśmy nie narzekali, zdegustowani tą czy inną porażką naszych zawodników, to sportowy dorobek ostatnich trzydziestu lat jest faktem. Wymiernym w punktach, metrach, sekundach i medalach.

„Igrzyska stare jak świat" są pracą zbiorową. Pomysł książki i koordynacja należy do Wacława Koryckiego.

„Igrzyska stare jak świat", Sport i Turystyka, Warszawa 1976, str. 366, cena: zł 60,-

„ŚLADEM HOKEJOWEGO KRĄŻKA"

„W styczniu 1975 roku minęło pół wieku od powstania Polskiego Związku Hokeja na Lodzie, ale w hokeja grało się już w Polsce przed 1925 rokiem. (...) Kto wie, czy gdyby nie to, że przyznano Polsce organizację drugich w jej historii mistrzostw świata, które miały miejsce w Katowicach, ta lub inna publikacja w ogóle by się ukazała. Dobrze się jednak stało, że z inicjatywy Polskiego Związku Hokeja na Lodzie zdecydowano się na przekazanie potomności historii początków hokeja w ogóle, a w Polsce w szczególności, jako że w okresie gdy powstawała ta książka, to jest w roku 1974, żyli jeszcze w kraju i poza jego granicami ludzie, którzy byli świadkami narodzin hokeja, byli zawodnicy, trenerzy czy sędziowie. Bez ich pomocy publikacja ta miałaby sporo luk, bo niestety z braku jakiegokolwiek archiwum w PZHL, dane do książki czerpane musiały być, głównie z publikacji prasowych oraz relacji naocznych świadków."

Ten fragment wstępu do książki „Śladem hokejowego krążka", której autorem jest znany publicysta sportowy — Witold Domański, starczy za jej omówienie. Gwoli prawdy trzeba dodać, że książka ukazała się w czasie najodpowiedniejszym, bo tuż przed mistrzostwami świata w Katowicach, co tylko dobrze świadczy o wydawcy. Mimo, że mistrzowskie rozgrywki mamy za sobą, mimo że wszyscy pamiętamy ową fatalną dla nas końcówkę meczu z RFN, która zdecydowała o spadku polskiej drużyny z grupy „A", to przecież książkę Witolda Domańskiego warto włączyć do domowej biblioteczki kibica. Tym bardziej, że wśród publikacji sportowych nie było dotąd liczących się pozycji poświęconych hokejowi.

Witold Domański — „Śladem hokejowego książka" Sport i Turystyka, Warszawa — 1976, str. 198, cena: zł 30.-

„OLIMPIJCZYCY XXX-LECIA"

Spółka autorska: Stanisław Drążdżewski — sekretarz generalny Polskiego Komitetu Olimpijskiego i Wojciech Szkiela — publicysta sportowy — wydała książkę pt. „Olimpijczycy XXX-lecia". Rzecz dotyczy oczywiście olimpijczyków polskich i jest jeszcze jednym przeglądem sukcesów polskiego sportu w trzydziestoleciu PRL. Książka Drążdżewskiego i Szkieli ma bardzo przejrzysty układ. Obszerny pierwszy rozdział — „Olimpijski bilans" — to wyliczenie naszych osiągnięć w poszczególnych dyscyplinach sportu, wchodzących w skład letnich i zimowych igrzysk olimpijskich. „Na olimpijskich arenach" — to tytuł drugiego rozdziału, w którym autorzy najwięcej uwagi poświęcają medalistom kolejnych igrzysk, zwycięstwom ale też i porażkom polskich zawodników. Wreszcie rozdział trzeci – „Najlepsi z najlepszych" — to ułożone alfabetycznie, króciutkie biografie najwybitniejszych sportowywców trzydziestolecia.

Książkę zamykają statystyczne tabele i zestawienie wszystkich polskich uczestników letnich i zimowych igrzysk olimpijskich, które odbywały się w wymienionym trzydziestoleciu.

„Olimpijczyków XXX-lecia" edytor, czyli Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, zaliczył sobie jako pozycję roku 1975, mimo, że książkę podpisano do druku w styczniu 1976, druk ukończono w lutym 1976, a w księgarniach ukazała się jeszcze później. Można i tak, często zresztą przymykamy oczy na taki poślizg wydawcy. Natomiast nie można darować fatalnej jakości zdjęć, które omawianą publikację ilustrują. Tytuł „Olimpijczycy XXX-lecia" powinien zobowiązywać również poligrafię. A tymczasem na konto Olsztyńskich Zakładów Graficznych można zapisać co najwyżej techniczny nokaut.

Stanisław Drążdżewski, Wojciech Szkiela — „Olimpijczycy XXX-lecia", LSW 1975, str. 235, cena: zł 47.

SPORTOWY KALEJDOSKOP

Krajowa Agencja Wydawnicza wypuściła już na rynek drugi sportowy kalejdoskop: „Sport 75". Jest to rzetelnie i pracowicie opracowany przez Zbigniewa Chmielewskiego i Ryszarda Zochowskiego przegląd wydarzeń sportowych, notowanych miesiąc po miesiącu, przynoszących pełną sportową dokumentację tego, co działo się w sporcie nie tylko w naszym kraju.

Jest to książka, przeznaczona dla tych, którzy nie tylko oglądają sport w telewizji, nie tylko chodzą na mecze i sportowe spotkania, ale również traktują sport jak jedną z dziedzin życia społecznego „Sport 75" będzie dla nich niewątpliwie pomocą w rozważaniach nad tym, co dzieje się na naszych i nie tylko naszych stadionach i boiskach. Inicjatywa KAW bardzo pożyteczna i mamy nadzieję, że będzie z uznaniem przyjęta przez kibiców.

B.M.

„Sport 75", Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1975, str. 443, cena: zł 40,-

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

CZYM JEST POEZJA?

Czym jest poezja? Na to pytanie odpowiedzieć nie sposób. Poeta Edward Stachura w swojej pięknej, lirycznej opowieści mówi, że „wszystko jest poezją".

Gałczyński pisał że **„poezja to jest złoty szerszeń, co kąsa — więc się pisze wiersze..."** Inny poeta mówił, że wszystko co się o poezji powie, jest nieprawdą. Ale czy nieprawdą będzie stwierdzenie, że poezja organizuje wyobraźnię narodową?

Są jednakże ludzie dla których poezja jest po prostu niczym, albo — powiedzmy dosadniej — dla których poezja jest sprawą ostatniego rzędu, na kształt jakiegoś przeciągającego się remontu w kamienicy na przedmieściu.

Ale — na szczęście — są też ludzie, dla których owa stara kamienica znaczy bardzo wiele, bo znaczy tradycję, historię i potężny rozdział narodowej kultury. **Dzięki tym ludziom Wydawnictwo Łódzkie będzie mogło wreszcie przystąpić do realizacji wielkiego zamierzenia edytorskiego, jakim jest antologia wierszy o Łodzi.**

Tak jest! To wielkie i kosztowne przedsięwzięcie znalazło wreszcie mecenasa. **I w końcu nawet nieważne, że ten mecenas nie znalazł się w Łodzi, lecz w Warszawie.** Ważne, że ów dokument poetyckiej tradycji miasta będzie wreszcie wydany dzięki specjalnej dotacji **Ministerstwa Kultury i Sztuki.**

Sama Łódź jest niestety za biedna, aby przeznaczyć 170 tysięcy złotych na dokument swojej literackiej przeszłości i współczesności. Są jednak województwa bogate — jak na przykład Piotrków, który zadeklarował specjalne dotacje na tomy poetyckie miejscowych autorów.

Tak więc dla jednych poezja znaczy niewiele, albo nic zgoła — dla drugich znaczy dużo.

Jedenasty już raz organizuje się w Łodzi ogólnopolski festiwal poezji. Ten poetycki festyn wpisał się na trwałe do kulturalnych tradycji miasta. W ciągu tych lat rozmaicie mówiono o Festiwalu, zyskiwał on różne oceny — od skrajnie entuzjastycznych do zdecydowanie negatywnych. Jest wszakże faktem, że łódzka impreza poetycka tworzy autentyczne forum dyskusji i refleksji nad stanem polskiej poezji.

Jeśli więc zdarzały się w ciągu tych dziesięciu lat festiwale nijakie czy jałowe, należałoby zadać sobie pytanie czy przypadkiem nie determinował tego faktu aktualny stan poezji.

A przecież — niezależnie od doraźnych ocen — festiwale przyniosły wiele cennych myśli na temat współczesnej poezji, nobilitowały wielu poetów... Łódzkie festiwale w ciągu tych dziesięciu lat nigdy nie przechodziły obok zjawisk dla poezji najważniejszych.

Nie działo się to przypadkowo. Rangę tego festiwalu wykreślała ranga poezji. Mówił o tym przed paroma laty z trybuny festiwalowej Michał Sprusiński, przypominając historyczne uwarunkowania poezji: **„Najwybitniejsi nasi twórcy formułując programowe hasło — „Drogę do dobrej literatury, możliwość pełnego jej oddechu otwiera niepodległość" — wiedzieli, że ta dobra literatura może walnie pomóc w wyznaczaniu kierunku drogi. Ta świadomość oznaczała podjęcie w pełni patriotycznych i społecznych obowiązków. Słowo poetyckie stało się w Polsce wyrazicielem treści, które w krajach posiadających byt państwowy były na forum parlamentarnym, na partyjnym wiecu, na łamach prasy, Poezja — sztuka, która zyskiwała niepodległościowe dążenia. Poezja — reprezentantem i zarazem nauczycielem narodu".**

Także i dziś miejsce poezji jest wśród ludzi, w wirze spraw dziejących się między Bugiem a Odrą, w strumieniu rzeczywistości — jak pisał poeta — kształtowanym naszą dłonią. Także dłonią i słowem poety.

I o tych sprawach mówił niegdyś z festiwalowej trybuny inny krytyk, Ryszard Matuszewski: **„Potrzebna jest poezja — pieśń, która po prostu pomaga trwać, żyć i zwyciężać. Kto potrafi dziś tworzyć taką poezję? Poezja prawdziwa — ani ta intelektualno-problemowa, ani ta apelująca najbardziej bezpośrednio do ludzkich serc, nie rodziła się nigdy na inny apel niż ten, który piszącym dyktowało wewnętrzne poczucie więzi z losami zbiorowymi".**

Takie właśnie spojrzenie na poezję — historyczne i współczesne — może wykreślać rangę, rolę i zadania tej najstarszej ze sztuk. I stąd hasło i motyw tegorocznego festiwalu — „Romantyzm dzisiaj". Romantyzm jako kategoria historyczno-literacka i romantyzm jako nieprzebrana skarbnica tradycji, z której czerpać może współczesna, nasza codzienna — Pani Poezja.

WIDOK

LEWYM OKIEM

BO JESTEM z KRAJU...

Wacław Kubacki w swej jakże poczytnej „Smutnej Wenecji" wylicza (na bez mała trzech stronach formatu „Nike" — str. 105—107) ponad sto dwadzieścia rodzajów pieczywa i różnych egzotycznych wyrobów z mąki. Sam wychowywałem się przy piekarni i wśród piekarzy, mógłbym listę Kubackiego wzbogacić długim szeregiem nazw dziś już zapomnianych, a przecież odnoszących się do wcale nie egzotycznego, najbardziej codziennego świata naszego dzieciństwa. Kto pamięta zapach czarnuszki, dziś zupełnie nie używanej, którą posypywało się płaską, prostokątną bułeczkę? A parki z makiem? A chleb sitkowy, szary, pulchny i wonny, a wielki razowiec na liściach chrzanu z wiejskiego pieca, pieczony na sośninie? Każda dzielnica, każde miasto i gmina, nieomal każda piekarnia miała swoją specjalność, swoją niepowtarzalną specyfikę. Byliśmy smakoszami chleba, bo też byliśmy narodem biednym, modlącym się najdosłowniej o chleb nasz powszedni i szanującym tę podstawę naszego jadłospisu jak nikt inny na świecie. „Bo jestem z kraju, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie" — pisał nędarz paryski, Cyprian Norwid. Przed kilku laty wyszła książeczka B. Kuźmińskiego „Sto wieków chleba", stanowiąca krótką, popularną historię jednego z najstarszych rodzajów ludzkiego pożywienia. To ciekawa książeczka, ale to mało. Powinna się ukazać wielka, piękna, bibliofilska monografia z setką sugestywnych barwnych ilustracji, żeby ślinka ciekła, żeby fachowcy branży piekarniczej podnieśli poczucie swej potrzebności i ważności społecznej, żeby drgnęła w nich ambicja powrotu do pięknych tradycji cechu, żeby...

Ech, ileż to życzeń ciśnie się na usta! Branża piekarnicza boryka się przecież ze zwyczajnym brakiem chętnych do tego zawodu. To był przez setki lat niezmiernie ciężki zawód. Piekarz nie widział świata za dnia. Dzień był do spania, noc — taka długa w naszym klimacie, przedłużana nieubłaganą walką konkurencyjną, bardzo niskim w tej branży poziomem zarobków — do żmudnej, ciężkiej harówy: wciąż w głęboko schylonej nad „bajtą" postawie, wciąż z oczami i nozdrzami pełnymi mącznego kurzu, z rękami w mokrym, gęstym, opornym cieście. Tę fizyczną harówę zdjęły już z człowieka maszyny. Już nawet czytałem, że w zawodowych szkołach piekarniczych zaczynają przeważać dziewczęta, co było nie do pomyślenia czterdzieści lat temu. Chleb — to była męska sprawa, prawie jak wojaczka. Ale czytałem też, że po ukończeniu takiej szkoły pozostaje w zawodzie piekarskim co szósty (np. we Wrocławiu — spośród 240 absolwentów pracuje w piekarniach około 40 osób). Bo tak ciężko już nie jest, ale nadal trzeba pracować nocą i nadal — w niedziele i święta. W poniedziałek rano miliony ludzi rusza do pracy i muszą mieć świeży chleb.

Zaczęły powstawać zmechanizowane, zracjonalizowane, zautomatyzowane piekarnie-giganty. Trochę dlatego, że taka będzie — bo chyba jeszcze nie jest — konsekwencja rosnących skupisk miejskich, a trochę dlatego, że tak założono w którymś z ogniw planowania ekonomicznego, uprzedzając być może ciąg obiektywnych konieczności. Giganty ciskają tysiące bułek i dziesiątki ton chleba na minutę, a wszystko oparte na uczonej recepturze. Ale listę „finalnych wyrobów" tej branży przemysłowej zmieściłby dziś Kubacki w trzech linijkach „Smutnej Wenecji" i byłaby to bardzo smutna Wenecja. Chciałem powiedzieć: lista. Już nie uganiamy za ulubionym gatunkiem pieczywa, bo nie ma gatunków, które by warto szczególnie wyróżnić. Byleby pieczywo było świeże, z innych wymagań rezygnujemy.

A może by sięgnąć po metody zza miedzy? Sąsiedzi ze wszystkich stron mają w sprzedaży wiele rodzajów pieczywa, pakowanego w folię. Zachowuje ono świeżość przez kilka dni, co pozwala na przeniesienie pracy piekarzy z godzin nocnych — do dziennych. Może wtedy więcej byłoby chętnych do pieczenia chleba? Może by mieli czas i siły i ochotę do zróżnicowania asortymentu, do wypieszczenia takich bułeczek, żeby dzieciaki się o nie upominały, może by zaczęli prześcigać się w wyrobie coraz lepszych, coraz ponętniejszych rogalików, chałek, strucli, obwarzanków?

Wtedy przyszedłbym do sklepu i wybrzydzał. A tak to przychodzę, mówię: proszę pół chleba! — biorę co dają, bo to i tak wszystko jedno. I już. Prosta sprawa. Więc może i dobrze, że z tym pieczywem jest tak jak jest?...

ĆWIEK

PROPOZYCJE

PECHOWE MIASTO

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że mamy niebywałe skłonności do personifikacji, czyli nadawania cech ludzkich, zwierzętom, przedmiotom, a nawet miastom. Dawno temu pewien poeta zakochał się w pewnym mieście i przedkładał tę miłość nad miłość do dziewczyny. Co by się jednak nie mówiło miasta mają swój charakter, niepowtarzalną atmosferę, swoją specyfikę. Swój charakter ma też i Łódź.

Tylko z kronikarskiego obowiązku przypominam, że Łódź była „ziemią obiecaną", „złym miastem", „czerwonym", „polskim Manchesterem", „wielką wsią", „kominogrodem", „stolicą polskiego włókiennictwa". Do tego rejestru można byłoby dodać jeszcze jedno określenie: „pechowe miasto".

Jest wiele powodów, dla których można byłoby określić Łódź mianem „pechowego miasta". Przede wszystkim wojna Łodzi nie zniszczyła. Właściwie jest to powód do radości. Ale wielu skłonnych jest uważać, że fakt ten w sposób decydujący zaciążył na losach miasta. Kiedy inne intensywnie się odbudowywały, Łódź trwała w swoim archaicznym kształcie, nadanym jej jeszcze w XIX wieku. W innych miastach cieszono by się z tego, zrobiono by z tego najważniejszy atut propagandowy, ale dla Łodzi było to i jest ciągłym utrapieniem.

Łódź leży blisko Warszawy. To źle, czy dobrze? Zdania są podzielone. Dla jednych dobrze, a dla innych — źle. A dla miasta? Większość skłonna jest uważać, że niedobrze. Niektórzy posuwają się tak daleko, że skłonni byliby uznać Łódź za daleko wysunięte przedmieście stolicy. Na przykład PKP.

Podstawę do takiego sądu daje nowy rozkład jazdy pociągów PKP. Twórcy tego rozkładu wyszli z założenia, że skoro Łódź jest tak blisko Warszawy, to nie ma żadnego powodu, aby traktować ją jako samodzielny węzeł komunikacji pasażerskiej, a tylko jako stację peryferyjną. Jak już ktoś koniecznie chce jechać na wczasy nad Morze Bałtyckie, to najlepiej przez Warszawę. A w ogóle to łodzianie mają pod bokiem Morze Sulejowskie i niech sobie tam jeżdżą na wczasy i to w dodatku autobusami PKS.

Zlikwidowano więc sezonowe połączenia Łodzi z Kołobrzegiem i Helem, zostawiając codziennie do Kołobrzegu dwa wagony, dołączone w Toruniu do warszawskiego pociągu oraz bezpośrednie połączenia z Kołobrzegiem i Helem na początku i w połowie miesiąca, czyli wtedy, kiedy zmieniają się turnusy na wczasach. Przedtem jeszcze zmniejszono w łódzkich pociągach ilość wagonów sypialnych i kuszetek.

Ostatnio LOT uruchomił bezpośrednie połączenie lotnicze między Warszawą i Słupskiem. Słupsk jest jak wiadomo siedzibą wielu instytucji handlu zagranicznego, zjednoczeń, wyższych uczelni, instytutów naukowych. Ze Słupska i do Słupska jeździ się bardzo często i to głównie samolotem. Łódź jest natomiast tych wszystkich walorów pozbawiona i ani do Łodzi, ani z Łodzi nikt nigdzie nie podróżuje. Nie ma sprawy. W Łodzi jest natomiast kilku fantastów, którzy mają niewyżyte ambicje i koniecznie uparli się żądać, aby i w Łodzi było lotnisko. Po co im to? Jakby nie było lotniska w Warszawie?

Kiedy oglądam wieczorem DTV, to najczęściej dowiaduję się jak ludzie pracują w Lublinie, Opolu, Wrocławiu, jak kręca się tryby i leje się stal na Śląsku, jak się woduje statki w Gdańsku, a ładuje i wyładowuje w Szczecinie i Gdyni. Ale co dzieje się ciekawego w Łodzi, o tym rzadko. Na dzień do Bełchatowa wpadają na ogół warszawscy reporterzy telewizyjni, jakby mieli bliżej niż łódzcy. Można to tłumaczyć łódzkim pechem, ale chyba nie tylko.

„Express Ilustrowany" wpadł natomiast na perfidny pomysł. Zaprosił do Łodzi reporterów z innych popołudniówek i magazynów, pokazał im miasto i ogłosił konkurs. Da nagrodę temu, kto najładniej Łódź opisze i artykuł ten czy też fotoreportaż wydrukuje w swoim, pozałódzkim, piśmie. Dobry to pomysł, bo my tu w Łodzi mniej lub więcej wiemy, co się u nas dzieje. Pisze się o tym i fotografuje, ale niech też inni wiedzą. Niech nie myślą, oglądając tylko DTV, że w Łodzi spokój i wygodne życie, że tu się nic nie buduje i nie ma żadnych kłopotów i problemów.

Czyż to mało powodów, aby uznać Łódź „miastem pechowym"? A jednak nadal będę przestrzegał przed ukuciem takiego określenia. Łódź bowiem nie jest „miastem pechowym". Jest takim samym miastem jak wiele innych i innym zarazem, również jak wiele innych. Gdyby wszystkie miasta były jednakowe, byłoby nudno i monotonnie. Jest miastem ciekawym, w którym dzieje się wiele. Tylko trzeba to umieć zobaczyć i pokazać innym. To właśnie: pokazać. Stereotypowe opinie o Łodzi, powstałe w przeszłości, dziś już nie odpowiadają rzeczywiści, ale ciągle jeszcze funkcjonują. Dlatego trzeba dążyć do ich zmiany. To nie miasto jest pechowe, tylko my nie bardzo znamy własną wartość i nie potrafimy bić się o to, co nam się należy.

MARCIN RODAK

magazyn

ANDRZEJ JÓŹWIAK

ROZRYWKA, RYTM I MELODIA

Współczesna rozrywka od lat poszukuje nowych twarzy, i wbrew narzekaniom malkontentów utrzymujących, że nowa młoda kadra nie dorównuje poziomem swoim starszym kolegom znajduje je. Dotyczy to nie tylko naszego kraju, ale stanowi generalny trend międzynarodowej pop-music, jazzu, nowoczesnego baletu i innych form masowej subkultury muzycznej. Mało kto pamięta o tym, że królująca w jazzie od kilkudziesięciu lat Ella Fitzgerald, jako czternastoletnia dziewczynka została „odkryta" w styczniu 1934 roku na amatorskim konkursie w Teatrze „Apollo" w nowojorskim Harlemie. A był to okres, kiedy wydawało się, że nikt z wokalistów jazzowych nie jest w stanie zastąpić Bessie Smith zwanej „Empress of Blues" (Cesarzowa Bluesa), słynnej Bessie, o której jeden z wybitniejszych krytyków muzycznych John Hammond pisał: „Smith była najwybitniejszą artystką jaką wydał amerykański jazz".

Z czasów nam współczesnych można zacytować początek kariery Mireille Mathieu, która po zdobyciu głównej nagrody na amatorskim konkursie wokalnym wystąpiła w audycji telewizyjnej z Georgette Lamaire (listopad 1965) szybko osiągnęła błyskotliwy sukces; reklamowana i lansowana jako wokalistka, która wypełniła lukę po Edith Piaf.

Podobnych przykładów można mnożyć wiele, ale nie o to chodzi. Poszukiwania nowych twarzy piosenki trwają od lat i wszelkiego rodzaju konkursy i przeglądy, jeśli są realizowane przez organizatorów posiadających tzw. zaplecze (kontakt z telewizją, firmą fonograficzną, radiem, estradą itp) z reguły przynoszą efekty. Pamiętamy przecież eksplozję talentów na organizowanych w Szczecinie Festiwalach Młodych Talentów (1962, 1963). Laureatami tych konkursów byli m.in. Niemen, Ada Rusowicz, Katarzyna Sobczyk, Wojciech Korda, Karin Stanek, Michaj Burano, Helena Majdaniec. W turnieju tym w 1962 r. I miejsce zdobył zespół „Niebiesko-Czarni", który w latach następnych spopularyzował hasło „polska młodzież śpiewa polskie piosenki". Z perspektywy kilkunastu lat hasło to wydaje się trochę śmieszne, ale jakże potrzebne było w owym czasie, kiedy młodzi piosenkarze śpiewali po angielsku (nie muszę chyba wyjaśniać co to była za „angielszczyzna") „francusku", „włosku"... byle nie po polsku. Od hasła tego do I Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu (1963) droga była już bliska, a szlak przetarty. I Festiwal był początkiem kariery 22-letniej wówczas Ewy Demarczyk, studentki z Krakowa, która początkowo śpiewała w kabarecie Cyrulik, a następnie w Piwnicy pod Baranami.

Później funkcje zapewnienia dopływu młodych kadr przejęły ogólnopolskie festiwale piosenki studenckiej w Krakowie; Maryla Rodowicz, Urszula Sipińska, Zdzisława Sośnicka, Bogdana Zagórska, Piotr Szczepanik, Marek Grechuta to tylko niektórzy z piosenkarzy, których artystyczna droga zaczynała się na krakowskiej scenie. Niekiedy — jak np. w przypadku Sośnickiej — była to droga długa, bowiem festiwal studencki dawał nagrody, nobilitował w pewnym sensie młodego wykonawcę i to wszystko. Pozostawiał go samego sobie, a od siły przebicia, talentu i sprzyjających układów zależało kiedy i czy młody wykonawca wejdzie na rynek rozrywki. W przypadku Zdzisławy Sośnickiej trwało to ok. 10 lat (!).

Po latach chudych być może nadejdą tłuste. Łódź reaktywowała turnieje młodych piosenkarzy pod hasłem: Konkurs Młodych Talentów NOWE TWARZE POLSKIEJ ROZRYWKI. Konkursy te odbywały się w roku ubiegłym i w roku bieżącym. Laureatami „Czterolistnej Koniczynki" (tak się nazywa główna nagroda tej ogólnopolskiej imprezy) zostali m.in. Lucyna Owsińska (1975) i w br. Jaga Paduch i Stanisław Wenglorz. Piotr Adamczewski (Redaktor tygodnika „Kultury") pisze o laureatach w/w konkursu: „...Jaga Paduch nie tylko zdystansowała swych rywali techniką śpiewu, lecz także swobodą poruszania się na scenie, wdziękiem... to po prostu młoda artystka rokująca duże nadzieje... Stanisław Wenglorz, przypominający momentami Niemena, imponuje siłą głosu, konsekwencją w doborze repertuaru i stałym, choć być może zbyt wolnym rozwojem". Z recenzją tą (podobne w tonie ukazały się w prasie centralnej, jak „Panorama", „Kulisy" i in.) można się zgodzić.

W niedługim czasie — jak sądzę — zarówno Jaga Paduch, jak i Stanisław Wenglorz mogą wejść do ścisłej estradowo-wokalnej czołówki naszego kraju. Muszą jednak — i oni i inni, którzy chcą zdobyć estradowe szlify — stale się dokształcać i pracować nad sobą, bowiem jak stwierdził jeden z najwybitniejszych znawców światowej piosenki Hal Levy (wykładowca twórczości piosenkarskiej na Uniwersytecie w Los Angeles); „Każdy może pisać piosenki i wykonywać je. Jest to jednak i sztuka i rzemiosło. Niewielu jednak jest artystów, a zbyt dużo rzemieślników". I cytat ten chciałbym zadedykować tym wszystkim, którzy uważają, że profesjonalne śpiewanie jest czynnością równie prostą jak jedzenie, czy golenie.

EUGENIUSZ IWANICKI

Z NOTATNIKA PEWNEGO T.

W czasie pożaru, który trawił jego dobytek, T. trzymając papierosa, zwrócił się do strażaków:

— Który z panów ma ogień?

* * *

„Tylko milczenie jest prawdomówne" — powiedział ktoś.

— Milczenie jest kłamstwem — odparł T.

Była to kontynuacja dialogu rozpoczętego jeszcze u kolebki ludzkości.

* * *

T. czuł lęk przed białą kartką „Nigdy nie wiem, co taka ze mnie wyciągnie" — mawiał.

* * *

— Jego powieści posiadają niezwykłą głębię — mówił T. o pewnym prozaiku. — Nigdy w siebie nikogo nie wciągają.

* * *

„Pisałem — skarżył się pewien literat — aż w pewnym momencie poczułem, że jestem sam. Wówczas pojąłem, że opuściło mnie natchnienie".

— To niemożliwe — zwątpił T.

„Jak to?"

— Po prostu nie można utracić czegoś, czego się nigdy nie miało.

* * *

Malarz, kiedy zabrakło mu farby, własną krwią dokończył obraz przedstawiający sforę psów pędzących przez zagony.

— Nie przypuszczałem, że tak właśnie wyglądają wściekłe kundle — powiedział T. — Z krwią należy zawsze obchodzić się bardzo ostrożnie.

ANDRZEJ SROCZYŃSKI

ŚWIETLANA PRZYSZŁOŚĆ

Spóźniłem się na te wakacje o całe trzy dni.

Dziewczyna pojechała pierwsza tak jak to było zaplanowane, a ja zająłem się mieszkaniem. Poprzykrywałem papierem półki z książkami, zwinąłem dywan, zaniosłem kwiaty do sąsiadki, zdjąłem firanki. Raptem zajęło mi to pół dnia, więc zadzwoniłem do koleżki i umówiłem się z nim na kawę. Drugie pół dnia przesiedzieliśmy na trasie kawiarni. Słońce prażyło ostro mimo parasola rozpiętego nad stolikiem. Leniwie rozparci w trzcinowych fotelach gapiliśmy się na przechodzące dziewuchy.

— Obrodziły latoś panienki — westchnął koleżka.

— Masz słuszność. Zastanawiam się, kto to wszystko obskakuje.

— Ja nie — powiedział Wacuś.

— Wyobraź sobie, że i ja nie. Zresztą to nie ważne. Cieszy mnie, że w ogóle są.

— Masz absolutna racje. Bez nich to całe życie byłoby funta kłaków nie warte.

— Jasne.

— Szkoda tylko, że człowiek nie może ich wszystkich ogarnąć ramieniem za jednym zamachem.

— Ech, ja bym się tam zgodził po kolei, po jednej brać je w ramiona.

— Piotrek, popatrz czy to nie cud?

— Gdzie?

— Ta w lilowej mini! Bracie, ogłupieć można — Wacuś papierową serwetka obtarł pot z czoła — Smaży jak cholera.

— To dobrze. Moja dziewczyna opali się pięknie. Ma taki złocisty odcień skóry.

— Jak wędzony kurczak?

— Ej, masz szczęście, gdyby nie ten upał, to byś oberwał.

— Myślisz - upewniał się.

— No chyba. Porównywać moją dziewczynę do kurczaka to już prowokacja.

— Lepiej się opanuj, bo ja w taki upał nie mógłbym ci oddać.

— Już się robi — uśmiechnęliśmy się. — No trzeba się zbierać.

— Piotrek, a może wieczorem napijemy się — co?

— Chyba nie. Zbyt jestem zmęczony. Muszę wstać bardzo rano. Spakować graty i hajda w Bory.

— Zazdroszczę ci.

— No, trzymaj się Wacuś.

— Cześć. Miłych wakacji. Do zobaczenia.

— Cześć. Napiszę do ciebie.

Uścisnęliśmy się serdecznie.

Zerwałem się wczesnym rankiem. Niebo było czyste, bezchmurne. Wyszedłem na rogatki miasta. Miałem szczęście. Od razu złapałem osobowy samochód z ładną dziewczyną za kółkiem. Kiedy stanęła spytałem.

— Zabierze mnie pani?

— Dokąd?

— W Polskę i świetlaną przyszłość.

Obrzuciła mnie bacznym spojrzeniem. Uśmiechnęła się leciutko.

— W Polskę proszę bardzo. W przyszłość pewno by pan nie zechciał.

— Tego się nigdy nie wie.

— Ja wiem. Więc dokąd?

— Do Tucholi.

— Jadę do Torunia.

— Świetnie! Stamtąd przy odrobinie szczęścia będzie już jeden skok.

Usiadłem obok niej. Cięła pewnie i ostro nie schodząc poniżej osiemdziesiątki. Obserwowałem dziewczynę kątem oka: „Jest bardzo ładna". Jednak coś zgaszonego w wyrazie twarzy, coś w pochyleniu pleców zastanawiało. Poczułem do niej sympatię. Milczeliśmy oboje.

— Czy mogę zapalić - spytałem.

— Oczywiście. - Z przyjemnością zaciągnąłem się dymem. - Ja także proszę - podałem jej zapalonego papierosa. Kiwnęła w podzięce głową. Popatrzyłem na nią, na jej ręce spokojnie oparte na kółku kierownicy. Sprawiały wrażenie bardzo mocnych. Z dużą szybkością wyminęła furmankę i już po sznurku weszła w ostry zakręt.

— Znakomicie pani jeździ.

— Kwestia rutyny. Zresztą od zawsze jeżdżę — dodała i szybko jakby kpiąco spojrzała w moją stronę.

— Urodziła się pani w wózku?

— Zgadł pan — Potwierdziła poważnie. - To już mój trzeci pojazd.

„Mają ludzie dobrze". Pomyślałem zawistnie a głośno powiedziałem: Zazdroszczę pani. Ja dotychczas miałem tylko rower.

— Rower? Szczęśliwy pan. Oddałabym swój samochód za rower i umiejętność jeżdżenia.

— O taką zamianę nie trudno a nauki chętnie się podejmę.

„Kabotynka" stwierdziłem w duchu i nie mogąc się już opanować spytałem.

— Tatuś pani pewnie badylarz? A pani jedynaczka?

— Tak — odpowiedziała spokojnie.

— Pana ma sadownictwo na przedmieściu Torunia.

— Szkoda, że jestem bez szans — kpiłem już.

— Myślę, że ma pan olbrzymie szanse nawet tylko z rowerem. Mieszka pan w Tucholi?

— Nie. Jadę na wakacje. W samą głuszę. Z dala od miasta. Od ludzi.

— To wspaniale. Ja też nie lubię miasta.

— A ludzi?

— Różnie to bywa. Mogę panu powiedzieć — popatrzyła na mnie zimno — że szczególnie mężczyzn nie lubię.

A to czemu? — zdziwiłem się szczerze. — Taka śliczna dziewczyna jak pani.

— Właśnie — ucięła ostro.

— Jestem zaskoczony, ale muszę wyznać, że mimo wyświadczonej mi grzeczności i ja nie będę pani lubił.

— Wiem. — Uśmiechnęła się teraz.

— Nic pani nie wie. Bo w ogóle to lubię ładne dziewczyny. Lubię cały rodzaj żeński.

— Trudno. Moja strata.

— Oczywiście.

— Proszę przypalić mi papierosa. Teraz mojego. Tutaj leża Malboro.

Podałem jej, sam ostentacyjnie wyciągnąłem sporty.

— Jeśli pasażer nie przestanie być impertynencki, wysadzę go na środku szosy.

Dopiero teraz spojrzała zalotnie. Poczułem przypływ sympatii do niej. Uderzyłem się w piersi.

— Nigdy więcej! Zgoda? I proszę jedźmy mimo wszystko w świetlaną przyszłość.— Położyłem rękę na jej dłoni.

— Niech będzie. Zostało już tylko kilka kilometrów.

— Strasznie smutne, że będę musiał się rozstać z tak miłą dziewczyną.

— Młody człowieku, pan mnie wyraźnie podrywa.

Przytaknąłem gorliwie.

Wjechaliśmy do miasta. Toruń.

— Proszę o mnie nie zapomnieć. I zawsze chętnie podejmę się nauczyć panią jazdy na rowerze.

Spojrzała mi prosto w oczy.

— Niemożliwe.

— Przysięgam.

— No — koniec jazdy. Ten dom to moja siedziba. Wskazała białą willę. Wysiadłem z wozu. Z drugiej strony wysiadła ona. Wsparta na dwóch laskach wlokła kalekie nogi. Patrzyłem nie mogąc się ruszyć z przerażenia.

Odwróciła głowę i powiedziała:

— Czekam na lekcje jazdy na rowerze i dalszą podróż w świetlaną przyszłość.

MAŁE KINO

„Najlepsze te małe kina"
K.I.G.

PIERWSI W DĄSIE

W obszernym cyklu, ukazującym nasze wyprzedzenie, już wkrótce ukaże się film o Polaku, który pierwszy na świecie nadąsał się zupełnie bez powodu. Był nim Jurko z Perspektywki, a nadąsał się on w wyżej wymieniony sposób, widząc babę pod płaczącą wierzbą. Wprawdzie oficjalnie Jurkę z Perspektywki wyprzedza pewien szlachcic z Podlasia, który nadąsał się wcześniej. Niestety, miał on powód. Było nim zbyt niskie jego zdaniem zwycięstwo na punkty, odniesione przez nasza reprezentację w spotkaniu z hordą tatarską.

JESZCZE JEDNA KLĘSKA

Kapitaliści w Stanach Zjednoczonych ponieśli kolejną, zasłużoną i wstydliwą klęskę. Wysłali oni wielką ilość ekip filmowych, których zadaniem było jeżdżenie po kraju i nieliczenie się z kosztami, po to jedynie, by wreszcie na taśmie zarejestrować coś pozytywnego. Jak było do przewidzenia, cała impreza przyniosła żałosne plony. Cóż bowiem pozytywnego można znaleźć w takim niedobrym ustroju!

NOWOŚCI KUKIEŁKOWE

Naszych milusińskich ubawi już niedługo barwny film kukiełkowy o Wesołym Franku, który z urwisa i leniucha, dzięki radom i wskazówkom babuni, staje się przykładnym uczniem i wzorowym krwiodawcą.

ANDRZEJ CZEKALSKI

POWIĘKSZENIA

PRZYSZŁA KRYSKA NA MATYSKA

Na łamach dwutygodnika „Student" buszował sobie, rozdzielając kopniaki i ciosy maczugą, pewien krytyk, zasłonięty bezpiecznie przyłbicą różnych pseudonimów. Jego „recenzje" pod szyldem „książki najgorsze" to seria porachunków z autorami, seria — mówiąc najoględniej — ciosów poniżej pasa. Np. o autorach jednego z recenzowanych tekstów pisze: „Panowie Choiński i Gałkowski, jeśli jeszcze żyją, zasługują na to, aby ich udusić bawełnianą pończochą". Miła propozycja, prawda?

Działalność krytyka w kapturze wywołała liczne protesty. M. in. **Jana Walca** z „Polityki", **Adama Augustyna**, który tak ocenił ową praktykę recenzencką: **„Kpina, to delikatna broń, cienka i ostra, wymagająca świetnego fechtmistrza. I opłakane są skutki, kiedy kpiarza z piekła rodem, uśmiechniętego szatańsko i uzbrojonego w cienką szpadę, usiłuje zastąpić rechocący troglodyta z grubym obuchem w łapie".**

Przyszła wreszcie, sprawiedliwą koleją rzeczy, pora na naszego rycerza. W jednym z ostatnich numerów studenckiego tygodnika „Politechnik" **Karol Pawłowski** uchyla przyłbicy z oblicza dzisiejszego bohatera „Powiększeń". Jest nim... **Stanisław Barańczak.** Zdumienie, ale czy tylko, jeśli prześledzić opłotki jakimi ostatnio chadza, ten kiedyś dobrze się zapowiadający krytyk. Oto co pisze Karol Pawłowski o ostatnich ekscesach Barańczaka: **„...za wystąpieniami recenzenckimi Barańczaka nie stoi już żaden system wartości literackich, lecz gorączkowe poszukiwanie ujścia dla własnej nieodpowiedzialności... krytyk chlubiący się tytułem doktora nauk humanistycznych raptem zapomina o kulturze słowa, z pola widzenia traci obowiązujące krytyka normy etyczne i powszechnie przyjęte zasady sztuki dyskutowania. Zapomina o tym wszystkim, co zresztą jako nauczyciel akademicki znać powinien na wskroś, co zapewne wpaja studentom jako wzór analizy filologicznej, jako ideał dla każdego, kto zamierza formułować sądy o wartości kultury".**

Nie chcemy dłużej tu przytaczać co sądzi K. Pawłowski o S. Barańczaku, bo staje się to zajęciem jałowym, smutnym i żałosnym. A „Powiększenia" powinny chociaż trochę śmieszyć.

„MAZEPA" WIERSZEM!

„Express Ilustrowany" pisze w recenzji z ekranizacji „Mazepy" Słowackiego: **„Dodam jeszcze, że w filmie tym mówi się wierszem...".**

Niemożliwe! „Mazepa" Słowackiego wierszem! Do czego to doszło! Gdyby nie „Express", 120 tysięcy czytelników łódzkiej popołudniówki żyło by w przekonaniu, że „Mazepę" napisał Słowacki prozą.

HISTORYK W „GR"

Maciej Kuczewski z „GR" postanowił zabawić się w historyka. Pisząc reportaż „Tajemnice Sącza" wywodzi: **„Kinga nie była jedyną polską królową, która u starosądeckich klarysek przywdziała na ostatnią część życia zakonny habit. Tak samo postąpiła królowa Jadwiga, żona Władysława Jagiełły i matka Kazimierza Wielkiego".**

Wariat, Wisła się pali! **Jagiełło nie był ojcem Kazimierza Wielkiego choćby z tego powodu, że kiedy się urodził, Kazimierz Wielki miał już 38 lat — a trudno noworodkowi rodzić czterdziestolatka.**

Ojcem Kazimierza Wielkiego był — jak wiadomo — **Władysław Łokietek.** Autor „GR" zdaje się również nie rozróżniać dynastii i kolejności ich panowania. Kazimierz Wielki należał do Piastów, Jagiełło rozpoczyna dynastię Jagiellonów.

Maciejowi Kuczewskiemu pomyliły się też dwie Jadwigi — do klasztoru klarysek w Starym Sączu wstąpiła żona Łokietka, wcale zresztą nie królowa Polski. Autor zdaje się nie wiedzieć, że nie zawsze żona króla posiadała prawa królewskie. Kinga także nie była królową, lecz księżną krakowską i sandomierską.

Jak na dwa zdania, za dużo tu bałaganu historycznego i pospolitej niewiedzy.

INFORMACJA

„Dziennik Popularny" informuje: **„...wśród nowości wydawniczych ukaże się w sprzedaży starannie wydany przez Wydawnictwo Łódzkie album Antoniego Szrama i naszego kolegi redakcyjnego kolegi Andrzeja Wacha pt. „Łódź przemysłowa".**

Ludzie! Bójcie się Boga! W jednym zdaniu trzy błędy? Trzeba było raczej zapytać redakcyjnego kolegi niż pisać bzdury.

Po pierwsze — album nie ukaże się, lecz ukazał się przed prawie pół rokiem.

Po drugie — wydawcą albumu jest Krajowa Agencja Wydawnicza a nie Wydawnictwo Łódzkie.

Po trzecie — tytuł brzmi: „Architektura Łodzi przemysłowej".

Nazwisk autorów na szczęście nie pomylono.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch" Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90 102 Telefony 652 44 217 98 oraz 293 00, wew 29, 39, 40 i 41 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 1156, R-2. Nr indeksu 26762.